NR 3 (1876) 21 STYCZNIA 2025

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

Proj. Krzysztof Karnkowski

MAFIA
bardzo kulturalna
ZNÓW ATAKUJE

TYSOL.PL

ISSN 0208-8045
9 770208 040450 03
INDEKS 379433
CENA 9,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

- ODDAJCIE NAM WOŚP!
- VOLKSWAGEN A SPRAWA POLSKA

eprasa.pl d90fd1bdd3

RAPORT

DRAPIEŻNY ZIELONY (NIE)ŁAD

już dostępny

Pierwsza tak kompleksowa analiza wpływu
polityki klimatycznej Unii Europejskiej
na polską gospodarkę
przygotowana na zlecenie NSZZ „Solidarność”
przez grono niezależnych i uznanych ekspertów.

Kup na

WWW.SOLIDARNOSC.SKLEP.PL

eprasa.pl d90fd1bdd3

Michał Ossowski
REDAKTOR NACZELNY

Niektóre mechanizmy życia politycznego i społecznego się nie zmieniają. Przejęcie po wojnie kontroli politycznej w Polsce pociągnęło za sobą chęć zapanowania przez komunistów nad wszelkimi sferami życia publicznego. Na usługach państwa mieli działać także przedstawiciele nauki, kultury i sztuki, tak aby obywatel był poddany wszechstronnej indoktrynacji.

Stąd nowy system nauczania i nowe podręczniki na każdym etapie edukacji, stąd wprowadzenie socrealizmu do sztuki, stąd komunistyczna propaganda w kulturze, a także środkach masowego przekazu.

Dziś często śmiejemy się z topornych form komunistycznych produkcyjniaków, prawda jest jednak taka, że każda kolejna władza robi – mniej lub bardziej finezyjnie – to samo. Próbuje zapanować nad kulturąm i sztuką i wykorzystać ją do własnych celów. „Sztuka nie jest niewinna, niezależna i bujająca w obłokach. Jest narzędziem ideopropagandy. Zwłaszcza kiedy twórcy i ich instytucjonalna «obsługa» siedzą na państwowych garnuszkach" – pisze Monika Małkowska. „Łańcuszek indoktrynacji domykają media nagłaśniające odgórnie wskazane zjawiska i nazwiska" – dodaje. Przekonuje też, że po tym, gdy ujawniła układ w środowisku artystycznym pod koniec poprzedniego rządu Donalda Tuska, popadła w niełaskę.

Takie przykłady dobrze już znamy. W stanie wojennym i po nim wielu artystów i naukowców borykało się z wykluczeniem z życia artystycznego albo przenosiło je do podziemia. W oficjalnym obiegu za krytykę władzy byli wygumkowywani.

Podobnie było wówczas, gdy w mediach nie istniał lub pojawiał się szczątkowo temat niewygodnych dla władz kolejnych wystąpień obywateli, np. w 1956 roku w Poznaniu, w 1970 roku na Wybrzeżu, w 1976 roku w Radomiu i Ursusie...

To, że protest przemilczały i władza, i przychylne jej media, świadczy tylko o jednym. Miał on swoją moc i znaczenie.

Okazuje się, że dziś mainstreamowe media robią podobnie. „Czy liczny protest ludzi z całej Polski w Warszawie dotyczący fundamentalnego bezpieczeństwa kraju może być zepchnięty w medialną nicość? Może, ostatnie wydarzenie pokazuje, że front medialny działa u nas na niszczenie przeciwnika" – pisze Jakub Pacan. Jak przekonuje, ostatni protest górników i energetyków, który odbył się na początku roku w Warszawie, jest przykładem na to, że media głównego nurtu, chcąc zapanować nad przekazem płynącym do Polaków, pomijają rzeczy ważne, a uwypuklają te nieistotne. To, że protest przemilczały i władza, i przychylne jej media, świadczy tylko o jednym. Miał on swoją moc i znaczenie. I ewidentnie ktoś tu się przestraszył.

NA DOBRY POCZĄTEK **WASIUKIEWICZ**

eprasa.pl d90fd1bdd3

21.01.2025
WYDANIE Nr
3

W TYM TYGODNIU:

TEMAT TYGODNIA

Powrót mafii „bardzo kulturalnej”

8	Mafia mniej kulturalna
14	Protest, którego nie było, czyli matrix w Warszawie 2025 roku
18	Wolność słowa w uścisku demokracji
22	Nadszedł czas sztuki konformistycznej. Rozmowa z P. Bernatowiczem
26	Cynglizm, czyli o strażnikach uśmiechu

KRAJ
Oddajcie nam Orkiestrę! 30

GOSPODARKA
Masowa imigracja, czyli wzrost nierówności 34

ZAGRANICA
Bilans otwarcia 38

Z PAMIĘTNIKA ROBOTNIKA 42

KULTURA
Nie boję się wyzwań. Rozmowa z K. Talarek 44
Światowy sukces i rodzima nienawiść 50

HISTORIA
Halina Żurowska „Baśka” – jedyna kobieta zamordowana na Rakowieckiej 54
Styczeń 1863 słowami powstańca 58

ZWIĄZEK
Co w związku 62
Volkswagen a sprawa polska 64

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ
Czasopismo NSZZ „Solidarność”

Adres redakcji: ul. Prosta 30, 00-838 Warszawa

E-mail: redakcja@tygodniksolidarnosc.com

Tel./fax: 22 882 27 96

Wybór tekstów z każdego numeru „TS” na stronie: www.tysol.pl

Prezes zarządu: Michał Ossowski

Redaktor naczelny: Michał Ossowski
m.ossowski@tygodniksolidarnosc.com

Zastępcy redaktora naczelnego:
Cezary Krysztopa, Rafał Woś

Sekretarze redakcji:
Beata Rojek, Aleksandra Paulus,
tel. 22 882 27 80

Dziennikarze: tel. 22 882 27 96; 22 882 08 21
Bartosz Boruciak, Marcin Krzeszowiec, Barbara Michałowska, Jakub Pacan, Teresa Wójcik, Agnieszka Żurek

Felieton i komentarz:
Marek Jan Chodakiewicz, Karol Gac, Zdzisław Krasnodębski, Cezary Krysztopa, Monika Małkowska, Magdalena Okraska, Remigiusz Okraska, Tadeusz Płużański, Rafał Woś, Jan Wróbel

Stali współpracownicy:
Andrzej Berezowski, Marcin Darmas, Aleksandra Fedorska, Paweł Gabryś-Kurowski, Piotr Grzybowski, Ewa Górska, Krzysztof Karnkowski, Wojciech Kulecki, Piotr Łopuszański, Marek Nowak, Tomasz Oleksiewicz, Ludwik Pęzioł, Sebastian Pytel, Sebastian Reńca, Łukasz Sakowski, Mariusz Staniszewski, Wojciech Stanisławski, Jakub Szmit, Mateusz Wyrwich, Igor Zalewski, Stanisław Żaryn

Łamanie:
Andrzej Chojnacki, Małgorzata Lewicka-Koniak

Foto: Tomasz Gutry, Marcin Żegliński

Rysunki i grafika:
Barbara Sadowska, Jerzy Wasiukiewicz, Zygmunt Zaradkiewicz

Tysol.pl:
Aleksandra Jakubiak, Marlena Nowakowska, Kacper Pawowicz, Monika Rutke, Jerzy Szulwic, Anna Tyszer, Mariusz Tyszer, Robert Wąsik, Anna Zgierska

Artykułów niezamówionych redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo skrótów oraz zmian tytułów nadesłanych materiałów.

Dział marketingu:
Konrad Wernicki, tel. 510 075 689, e-mail: k.wernicki@tygodniksolidarnosc.com

Wydawca: TYSOL Sp. z o.o.
ul. Wały Piastowskie 24, 80-855 Gdańsk
nr konta: Mbank
58 1140 1065 0000 2038 9400 1001

Księgowość: tel. 58 308 42 69

FELIETONY:

WOŚ 7
OKRASKA 13
GAC 33

POLECAMY:

KARUZELA Z BLOGERAMI 17
CZYTAM, CHADZAM, DORADZAM, ODRADZAM 48
ŚWIAT WEDŁUG WRÓBLA 61
Z ARCHIWUM TOMASZA GUTREGO 67
PRAWO 68

eprasa.pl d90fd1bdd3

Udzielam poparcia wnioskowi o poddanie pod referendum ogólnokrajowe sprawy o szczególnym znaczeniu dla państwa i obywateli dotyczącej ograniczenia przez Polskę obecnych przepisów strategii „Zielonego Ładu” i bieżącej polityki klimatycznej UE

zawierającemu następującą propozycję pytania w przedmiotowej sprawie:

Czy jest Pani/Pan

za zobowiązaniem Prezydenta RP, Parlamentu RP, Rządu RP do odrzucenia przez Polskę polityki klimatycznej UE w obecnym kształcie, zawartej w europejskim „Zielonym Ładzie”

Odpowiedzi "Tak" lub "Nie".

Lp.	Imię (imiona) i nazwisko	Adres zamieszkania (miejscowość, ulica, nr domu, nr lokalu)	Nr ewidencyjny PESEL	Podpis
1	2	3	4	5

Wypełnioną kartę można wysłać na adres redakcji „Tygodnika Solidarność”: ul. Prosta 30, 00-838 Warszawa.

eprasa.pl d90fd1bdd3

PODPISZ WNIOSEK

O REFERENDUM OGÓLNOKRAJOWE W SPRAWIE ZIELONEGO ŁADU

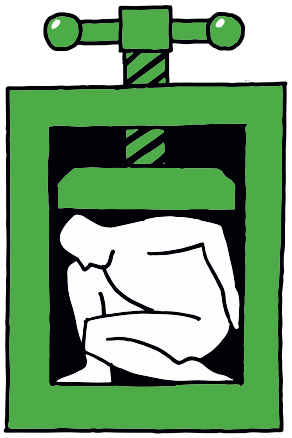

ZATRZYMAJ
ZIELONY ŁAD

PODPISZ, ZANIM ZRUJNUJĄ CI ŻYCIE

www.preczzzielonymladem.pl

NSZZ Solidarność

NSZZ RI Solidarność

eprasa.pl d90fd1bdd3

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

Rafał Woś

Czas utwierdzania wpływów

Równo dziesięć lat temu nasza autorka Monika Małkowska napisała najbardziej wybuchowy tekst w swojej – niekrótkiej przecież – karierze krytyczki sztuk. Nosił tytuł „Mafia bardzo kulturalna" i był niespotykanie – jak na polskie media – odważnym rozliczeniem z rodzimym (pół?)światkiem artystycznym. Opisała kumoterstwo, niszczenie konkurencji, zblatowanie z możnymi, konformizm, uwłaszczenie na dobru wspólnym oraz histerię, która towarzyszy każdej próbie powiedzenia mafii: „Posuńcie się trochę na tej ławeczce splendoru i statusu". Oczywiście bohaterowie opowieści nie byli zachwyceni. Poprzysięgli Monice zemstę i rozpoczęli nagonkę. Działo się to na długo, zanim te mechanizmy wyciszania krytyki stały się znane pod nazwą „cancelu".

Po dziesięciu latach wracamy w „Tygodniku Solidarność" do tematu także po to, by odkryć, że dawna „mafia bardzo kulturalna" wraca właśnie na pełnej petardzie. Ci sami ludzie obejmują dziś (ponownie) stery państwowych galerii, muzeów i ministerialne gabinety. Znowu dostali też to, co najważniejsze – klucze do skarbczyków państwowych instytucji kultury. Nie wahają się ich używać. Byle tylko utwierdzić swoją uprzywilejowaną pozycję w systemie.

Ale przecież to nie tylko o świat sztuki tu chodzi. Przed nami leży opisany mechanizm nawet uniwersalny. Przecież same mafie (mniej lub bardziej kulturalne) odtwarzają się dziś na naszych oczach w innych miejscach systemu. W spółkach skarbu, w biznesie, w mediach publicznych albo w sowicie wspieranej przez państwo sztuce filmowej. Przekonane o swojej wyjątkowości elity III RP wracają z przymusowej banicji w czasach PiS, gdy tak wielu z nich musiało (afront to niebywały) obyć się bez publicznych stanowisk, pieniędzy od państwa, a nawet (o zgrozo!) szukać na siebie pomysłu na tzw. rynku.

Teraz jednak dość tego. Z ich perspektywy znów jest tak, jak trzeba. Elicie zwrócono władzę i status, które jej się – po prostu – należą. W takich warunkach mogą wreszcie powrócić do przerwanego w 2015 roku scenariusza sukcesji i kooptacji potencjalnych następców. Ale tak, by im samym krzywda się nie stała i żeby ich nikt nigdy na boczny tor – Boże, uchowaj – nie odstawił.

Dziwią Was najnowsze podchody elit politycznych i opiniotwórczych pod wprowadzenie „kontroli treści w internecie"? Albo groźby pod adresem największej opozycyjnej stacji telewizyjnej w Polsce, że się im „odbierze koncesję"? Przecież to nic innego jak desperacka próba wykończenia medialnej konkurencji i utwierdzenia swojego panowania na wieki wieków. A aresztowanie pieniędzy budżetowych największej partii polskiej opozycji pod jakimiś wziętymi z księżyca zarzutami? To ten sam mechanizm utrwalania wpływu, tyle że na polu politycznym.

Gdzie tylko okiem sięgnąć, tam mafie próbują gruntować swoje panowanie i własne strefy wpływów. A mafia to mafia. Nieważne, czy mniej czy bardziej kulturalna.

eprasa.pl d90fd1bdd3

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

Temat Tygodnia

Fot. Adobe Stock

MAFIA

mniej kulturalna

Sztuka nie jest niewinna, niezależna i bujająca w obłokach. Jest **narzędziem** ideopropagandy. Zwłaszcza kiedy twórcy i ich instytucjonalna „obsługa" siedzą na państwowych garnuszkach.

Monika Małkowska

Łańcuszek indoktrynacji domykają media nagłaśniające odgórnie wskazane zjawiska i nazwiska. Wszyscy oni wespół tworzą sieć, przez którą niepowołani nie mają szans się przedrzeć. Przecież tu chodzi o poważne pieniądze! Hierarchię wartości ustalają merytokraci. Krytyka sztuki zbędna, wystarczy imaginastyka społeczna zwana PR-em. Gdyby ktoś fikał – są sposoby uciszania. A pokornym i usłużnym rozdamy talony na balony.

Obserwowałam, jak układ kiełkował, krzepł i się rozrastał na żyznym posttransformacyjnym gruncie. Résumé obserwacji spisałam pod koniec pierwszego Donalda Tuska, zimą 2014 r. W styczniu roku następnego „Plus Minus", cotygodniowy dodatek gazety „Rzeczpospolita", opublikował tekst „Mafia bardzo kulturalna". Po tym artystyczny syndykat wydał na mnie wyrok: niebyt.

Glossa do układu

Według jednych – tekst był paszkwilem na środowisko twórców, galerystów, kuratorów i ich akolitów; zdaniem innych – rozkminieniem patologii naszego art worldu. Oczywiście, przeważali ci pierwsi. Polemiki nikt nie podjął. Wygodniej było skazać sądem skorupkowym. Ustalono: za niesubordynację zgnoić i zagłodzić.

Do wygranej PiS było jeszcze kilka miesięcy, lecz na wyrost dorobiono mi gębę pisówy. Po dojściu

do władzy partii Jarosława Kaczyńskiego mafijni macherzy mieli jeszcze łatwiej. Na bank pisówa, skoro ma audycje w „reżimowych" stacjach radiowych. I poszło! Tu donosik, tam szeptanka, a jak kto chce kawa na ławę – proszę bardzo: o, najważniejsza na świecie gazeta napisała, że Małkowska doradza w MKiDN, zarabia krocie i decyduje, komu dać, kogo kupić. Zręcznie spreparowane łgarstwa, kolportowane przez usłużnych cyngli usadowionych w różnych redakcjach medialnego kartelu, poszły w świat. Hyr rozchodził się korytarzami, komerażami i na social mediach. Socjotechnika usypiająca rozum, a rozniecająca emocje (w tym przypadku negatywne) wydała owoce: wszędzie zamykano mi drzwi przed nosem. Czy w mediach, czy na uczelniach – czerwona kartka. Telefon milczał, dawni przyjaciele przechodzili na drugą stronę ulicy. Towarzyski ostracyzm doskwierał nie mniej jak bieda. Wtedy wykazałam się naiwną wiarą w tzw. prawo i sprawiedliwość. W sprawie szkalowania (na dowód – wycinki prasowe) skontaktowałam się z prawnikiem ze Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich. Ten rozłożył ręce: proszę odpuścić, tylko straci pani kasę, oni są silniejsi.

Przeżyjmy to jeszcze raz

Chwila wspomnień. Początek 1990 r., w Ministerstwie Kultury i Sztuki odbywa się skromna i niemal intymna uroczystość – minister kultury Izabella Cywińska mianuje nowych szefów dwóch prestiżowych stołecznych placówek: CSW Zamek Ujazdowski i Galerii Zachęta. Radość i wzruszenie. Nareszcie publiczne świątynie sztuki będą odkomuszone.

Na dyrektorskim stołku tej pierwszej instytucji zasiada Wojciech Krukowski; kierownictwo Zachęty przypada Barbarze Majewskiej. Jednak to nie ona rozdaje karty, lecz jej konkurentka i późniejsza zwyciężczyni w wyścigu na plac Małachowskiego – Anda Rottenberg. Już wtedy ma właściwe kontakty i wpływy: w 1986 r. uformowała Fundację Egit (ze wsparciem George'a Sorosa) sfokusowaną na „tworzeniu kolekcji plastyki współczesnej"; w latach 1991–1992 dyrektoruje w Departamencie Sztuki w MKiS; od 1993 r. obejmuje ster Galerii Zachęta, którą kieruje do 2001 r. Odeszła, bo ówczesny minister kultury Kazimierz Michał Ujazdowski obiecał jej lepsze cacko: stworzenie od zera Muzeum Sztuki Nowoczesnej. Minister słowa nie dotrzymał, co Rottenberg przekuła w martyrologię, następnie w sukces.

> NAJWAŻNIEJSZA NA ŚWIECIE GAZETA NAPISAŁA, ŻE MAŁKOWSKA DORADZA W MKiDN, ZARABIA KROCIE I DECYDUJE, KOMU DAĆ, KOGO KUPIĆ.

Jak hartował się system

Rottenberg nie była sama, miała wpływowych kumpli w kręgach wokółartystycznych, medialnych, politycznych. Nestorzy (jeszcze wtedy w dobrym średnim wieku) pociągali za sznurki, jednak wiedzieli, że potrzebują wciągnąć młodszych. W drugiej połowie lat 90. rozbłysły gwiazdy nowo narodzonych formacji, dziś potentatów na rynku sztuki: Rastra i Fundacji Galerii Foksal. Rastrowców było i jest dwóch – Łukasz Gorczyca i Michał Kaczyński, obydwaj z dyplomami historii sztuki. W 1995 r. założyli magazyn „Raster", dwa lata później przerzucili się do sieci. Miejscówkę Świetlicy Raster, galerii i wydawnictwa, zmieniali kilkakrotnie, by ostatecznie osiąść przy Wspólnej, w lokalu z odzysku po zlikwidowanej pracowni jubilerskiej ORNO.

Konkurencją (?) była trójka z Fundacji Galerii Foksal. Joanna Mytkowska, Andrzej Przywara i Adam Szymczyk startowali bez rastrowego przypierdu. W 1997 r. okokonili się przy najstarszej awangardowej galerii warszawskiej – Galerii Foksal. Jako fundacja mieli jej robić dobrze, a zrobili dobrze tylko sobie. Wykorzystali nośną nazwę oraz zagraniczne kontakty galerii (istniejącej od 1966 r.), by w 2001 r. pokazać środkowy palec naiwniakom z Foksalu. Teraz my! Zdecydowali i przenieśli się do budynku przy ulicy Górskiego, kolejnego taniego, acz znakomicie zlokalizowanego postsocjalistycznego odzysku (dawny pawilon Związku Rzemiosła Polskiego).

Upubliczniona komercja

Na Zachodzie to zjawisko zwie się konfliktem interesów. Udowodnione, ma poważne konsekwencje. U nas nikt nie mrugnie okiem. Osoby decydenckie zatrudnione w publicznych instytucjach współpracują z prywatnymi galeriami i wspólnie kręcą lody. Komercja nie jest oddzielona grubym murem od „niezależnej" narodowej reprezentacji. Nie chodzi tylko o kasę, przede wszystkim o prestiż i rozpoznawalność, czyli tzw. kapitał symboliczny, co daje przynależność

eprasa.pl d90fd1bdd3

do publicznych kolekcji. Niby każdy wie, że Joanna Mytkowska i Andrzej Przywara, prezes Fundacji Galerii Foksal, od lat tworzą partnerski związek i tak się jakoś składa, że artyści ze stajni FGF pokazywani są (a ich prace zakupywane) do MSN i do innych publicznych zbiorów. W układ wciągnięte są inne prywatne galerie (m.in. Lokal_30, Dawid Radziszewski, Piktogram, Stereo, Monopol) zrzeszone w masyw nazwany Warszaw Gallery Weekend. To oni decydują, który z artystów jest na topie. Kolportowaniem „w lud” ich wyborów (czytaj: dobrze sprzedających się nazwisk i obiektów) zajmują się medialni usługowcy, którzy za grosze nagłaśniają, co trzeba.

NA ZACHODZIE TO ZJAWISKO ZWIE SIĘ KONFLIKTEM INTERESÓW. UDOWODNIONE, MA POWAŻNE KONSEKWENCJE. U NAS NIKT NIE MRUGNIE OKIEM.

Z łezką w oku

Kiedyś istniała krytyka sztuki. Zawód, powołanie? Z pewnością temperament i wyprowadzone z XIX-wiecznej (a nawet wcześniejszej) tradycji wchodzenie w intelektualny spór o wartości, estetyczne i moralne. Bano się tych werdyktów, a wydawali je czasem z wielomiesięcznym namysłem (Denis Diderot) bądź natychmiast, nocą, tuż po fakcie (Jean-Paul Gaultier). Tak czy siak, te różne Dideroty, Baudelaire’y, Gaultiery, Zole czy Apollinaire’y upubliczniali swoje opinie tam, gdzie nikt nie dyktował wyborów. Nomen omen, poeta André Salmon zabłysnął jako krytyczne oko i pióro w gazecie „L’Intransigeant”, czyli „nieprzekupny”. Wydawało mi się, że wiek czy dwa później nadal obowiązują te same zasady; że krytyka sztuki jest pięknie nieprzekupną dyscypliną, której przedstawiciel bierze na klatę reakcje za swoje opinie, pozytywne bądź wprost przeciwnie.

Jakoś po roku 2000 wszelkie negatywne uwagi o sztuce zaczęto z mediów gumkować. Argument był kokieteryjnie zakłamany: skoro ludziom kultura wisi, trzeba ich zachęcać aplauzem, nawet trochę na wyrost. Potem merytoryczna, zindywidualizowana i niezależna krytyka zaczęła zdychać, zastąpiona przez przymilny PR. Zanik krytyki był na rękę tym, którzy lepili na naszym intelektualnym pustkowiu zaczyn rynku sztuki. Mało kto pamięta duet Piotr Bazylko/ Krzysztof Masiewicz, naganiaczy do „topowych” galerii. Para ni to dziennikarzy, ni macherów sztuką, współgrająca z tymi, co na świeczniku, opublikowała „Przewodnik kolekcjonera sztuki najnowszej” (2008), czyli przegląd stajni top galerii.

A kto pamięta szwindel pod kryptonimem Dom Aukcyjny Abbey House? Powstał w 2010 r., wykręcił, ile się dało, z naiwniaków oraz z łasych na kasę artystów, uwiódł szybkim zyskiem, po czym zwinął żagle i uleciał w niebyt, jak Amber Gold. Ten szwindel uwiarygadniali „krytycy” (na pierwszym planie Bogusław Deptuła, medialny ekspert). Ktoś, kto miał niepochlebne zdanie o tym przekręcie, psuł oszustom koniunkturę. Też podpadłam. Do tej pory rozbawia mnie list z pogróżkami wysłany przez mecenasa (?) gangu, żebym wycofała krytyczny tekst, bo mnie pozwą. Wkrótce potem Abbey House zniknęło gdzieś w kierunku Rosji.

Międzynarodówka

Do 1989 r. sztuka nie była u nas pokupnym towarem. Jedynym wytypowanym przez władze pośrednikiem w handlu z nabywcą krajowym i zagranicznym była DESA, wąskie gardło przepływu kasy między autorem a klientem. Po przełomie wolny handel sztuką wybuchł z siłą atomu. Początkowo szło się na żywioł. Aż co sprytniejsi zaczęli ogarniać i monopolizować teren. Z zachodniej strony pierwsi zgłosili się nasi sąsiedzi. Najgłośniejszy był konkurs „Spojrzenia” w Zachęcie, z nagrodą Deutsche Banku. Kompetycje organizowane co dwa lata

W DRUGIEJ POŁOWIE LAT 90. ROZBŁYSŁY GWIAZDY NOWO NARODZONYCH FORMACJI, DZIŚ POTENTATÓW NA RYNKU SZTUKI: RASTRA I FUNDACJI GALERII FOKSAL.

eprasa.pl d90fd1bdd3

od 2003 do 2021 r., z nagrodą główną w wysokości 60 tysięcy PLN, niewyobrażalna suma dla artystycznego prekariatu. Potem doszły ekskluzywne pobyty studyjne, stypendia i inne bonusy. Z czasem short listę zaczęto formatować pod kątem ideologicznych potrzeb (niebinarność, ekozagrożenia, postantropocen, kryzys migracyjny). Nie tylko ten bank poprawiał sobie wizerunek kolekcjonowaniem sztuki – pierwszy wpadł na to PKO BP (1998), wkrótce potem ING (2000). Kto decydował o zbiorach? Sami swoi.

Także w 2000 r. do gry – a raczej współgry – weszła kolejna, tym razem dotowana przez polski rząd, kulturalna trampolina: Instytut Adama Mickiewicza. Powołany przez MKiDN, miał być rządową instytucją kultury działającą w porozumieniu z MSZ. I – co za przypadek! Wszystkie „sezony" czy „obecności" polskie w Europie lub dalej znów kuratorsko obsługiwali ci sami macherzy z kilku wpływowych galerii. Obecną szefową IAM została menadżerka kultury i politolożka Olga Wysocka, już wcześniej pracująca w IAM jako zastępczyni dyrektora (2009–2018), w latach 2018–2022 zaś zastępczyni dyrektora (Hanny Wróblewskiej) w Zachęcie.

TAM, GDZIE CIASNO, WZRASTA AGRESJA. W ŚWIECIE KULTURY – KULTURA BYCIA NIE MA RACJI BYTU.

Samopomoc w sieci

Przez osiem lat PiS-u mafijne „matki chrzestne", ich consiglieri oraz soldati na pozór trochę przycichli. Jednak pomagano sobie dyskretnie. Podnoszono medialny wrzask za każdym razem, gdy komuś kończył się iluś tam letni kontrakt w instytucjach kultury. Przedłużyć im królowanie i żadnych konkursów, żeby nie wcisnął się żaden pisior! Jeśli ogłaszano kompetycje, to albo potajemnie, albo regulamin był tak sformatowany, żeby wygrał czarny koń „od naszych".

PRZEZ OSIEM LAT PiS MAFIJNE „MATKI CHRZESTNE", ICH CONSIGLIERI ORAZ SOLDATI NA POZÓR TROCHĘ PRZYCICHLI. JEDNAK POMAGANO SOBIE DYSKRETNIE.

Najważniejsze: kulturalny ekswaźniak zawsze znajdował niszę w jakiejś intratnej przechowalni, by wraz z powrotem ekipy Tuska triumfalnie wskoczyć na wysoki stołek. Najbardziej spektakularne kariery: Hanna Wróblewska, gestorka Zachęty od 2010 do 2021 r., od ponad roku ministra MKiDN. Po upływie drugiej dyrektorskiej kadencji dostała „na przetrwanie" rozmaite fuchy: Rada Programowa Centrum Nauki Kopernik, zastępczyni dyrektora Muzeum Getta Warszawskiego, Rada Programowa Muzeum Karykatury. Podobnie Piotr Rypson, zwolniony z funkcji p.o. dyrektora Muzeum Narodowego w Warszawie w 2018 r., w 2019 r. na otarcie łez mianowany przewodniczącym Polskiego Komitetu Narodowego Międzynarodowej Rady Muzeów. Od stycznia ubiegłego roku dyrektor Departamentu Dziedzictwa Kulturowego w MKiDN, który to dział odpowiada za muzea i politykę pamięci, w tym – Zagłady, oraz Międzynarodową Radę Oświęcimską. Teraz ci „poszkodowani" wycinają w odwecie wszystkich, którzy pracowali w kulturalnych instytucjach oraz w mediach za rządów prawicy. Poza tym syndykat się powiększył liczebnie, jako że w międzyczasie doszlusowali nowi ochotnicy wykształceni na różnych kierunkach kuratorskich, kulturoznawczych, historyczno-sztucznych, filozoficznych, historycznych, artystycznych, zarządzania sztuką i innymi bliżej nieokreślonymi zasobami. A tam, gdzie ciasno, wzrasta agresja. W świecie kultury – kultura bycia nie ma racji bytu.

Wkręcona młodzieżówka

Wbrew biadoleniom miniona dekada bynajmniej nie była stracona dla syndykatu. Wypączkowało mnóstwo ciał niby niewidocznych, za to strategicznie i empatycznie wspierających dobry, stary układ. Wciągnięto młodzieżówkę. Kształtowanie kadr

eprasa.pl d90fd1bdd3

i postaw zaczęto od tych najbardziej podatnych na indoktrynację: studentów kierunków artystycznych i wydziałów wokółartystycznych. Czy ktokolwiek wie, gdzie i w jakim charakterze mogą znaleźć zatrudnienie absolwenci np. zarządzania kulturą i mediami, Wydziału Zarządzania Kulturą Wizualną lub Wydziału Badań Artystycznych i Studiów Kuratorskich? Lista podobnych kierunków, rozsianych po całej Polsce, jest długa i nudna (w czytaniu). Ale ktoś na tych kierunkach naucza. Kto? Sprawdzeni żołnierze lewicy. Sztandarowym przykładem – filozofka i publicystka Katarzyna Kasia, gwiazda „Szkła Kontaktowego” TVN, Warszawianka Roku 2023, Osobowość Medialna Roku 2024, Mistrz Mowy Polskiej za rok 2024. Przez kilka lat (do 2020 r.) prodziekanka Wydziału Zarządzania Kulturą Wizualną stołecznej ASP, zasiadająca też w kapitule konkursu Literacka Podróż Hestii. Na tym samym wydziale zajęcia prowadzi historyk sztuki Jakub Banasiak, kiedyś autor bloga „Krytykant”, od 2013 r. redaktor naczelny magazynu „Szum”, za który został laureatem Nagrody Krytyki Artystycznej im. Jerzego Stajudy (2018).

No właśnie – rozliczne tytuły i godności to kolejne cukierki, które mafia rozdaje swym koryfeuszom i wyznawcom. Wisienka na torcie: wykład inauguracyjny na stołecznej ASP w październiku 2024 r. wygłosił – tadam – Jerzy Owsiak! Czterokrotnie startował po indeks plastycznej akademii, bez pozytywnego rezultatu; podobnie bez powodzenia na psychologię. Dobry pasterz dla świeżo upieczonych studentów.

Się sypie

W zabetonowanym układzie niedawno pojawiła się jaskółka buntu: komuś się ulało i zareagował publicznie. Vide afera z Maszą Potocką, jedną z najdłużej (od 2002 do teraz) funkcjonujących decydentek w ośmiornicy sztuki polskiej (krakowski Bunkier Sztuki i Muzeum Sztuki Współczesnej MOCAK). Niby spotkała ją sromota – ale stanął za nią murem „kulturalny” establishment z Adamem Michnikiem i Andą R. na czele. A tu – ktoś zgłosił mobbing, wygrał w sądzie, sprawę nagłośniono w mediach, Maszę odwołano, prawdziwy cud. Potem komuś puściły nerwy w sprawie Joanny Mytkowskiej i jej bezkonkursowego od 18 lat panowania w MSN. Ktoś inny zauważył, że Monika Szewczyk z białostockiego Arsenału trzyma ster tej instytucji od... 35 lat, rekord nad rekordami (w tym zestawieniu 16-letnie dowodzenie Jarosława Suchana w Muzeum Sztuki w Łodzi to naprawdę drobiazg). Ktoś inny zauważył kamaryle w innych instytucjach kultury: Daniel Muzyczuk, kiedyś kurator, obecny p.o. dyrektor łódzkiej placówki (co zapewne przejdzie w stan usankcjonowany nominacją), jest małżeńsko związany z niedawno powołaną szefową Zachęty Agnieszką Pinderą. To na razie głosy wołających na puszczy, jednak sygnał, że panująca latami w branży zmowa milczenia, a co gorsza – paraliż wolnej woli wywołany przez coś na kształt syndromu sztokholmskiego, gdzieś tam zaczyna mieć szramy i pęknięcia. Merytokraci coraz częściej dostają bęcki.

TERAZ CI „POSZKODOWANI” WYCINAJĄ W ODWECIE WSZYSTKICH, KTÓRZY PRACOWALI W KULTURALNYCH INSTYTUCJACH ORAZ W MEDIACH ZA RZĄDÓW PRAWICY.

KSZTAŁTOWANIE KADR I POSTAW ZACZĘTO OD TYCH NAJBARDZIEJ PODATNYCH NA INDOKTRYNACJĘ: STUDENTÓW KIERUNKÓW ARTYSTYCZNYCH I WYDZIAŁÓW WOKÓŁARTYSTYCZNYCH.

Jednak obawiam się, że w kontekście polskiej prezydencji w UE oraz nadchodzących w RP wyborów prezydenckich głosy siejące jakieś wątpliwości zostaną wytłumione. Teraz mafia jest potrzebna, żeby było u nas ładnie i po światowemu. Po prostu kulturalnie.

eprasa.pl d90fd1bdd3

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

Magdalena Okraska

Czarny kamień

Niemcy wracają do węgla, chwilowo „tylko” brunatnego. Tak, dobrze państwo czytają: będący w peletonie „dbania o planetę” i promowania tzw. zielonej energii Niemcy podjęli decyzję o ponownym uruchomieniu wszystkich elektrowni węglowych w kraju, wracając do tej wysokoemisyjnej metody pozyskiwania energii. Decyzja ta została podjęta, ponieważ drastycznie spadła ilość energii pozyskiwanej ze źródeł odnawialnych. Tak, tej energii, która miała „na zawsze” zastąpić brudny węgiel. Dlaczego? Bo pochmurna pogoda i mgła spowodowały znaczne ograniczenie efektywności instalacji wiatrowych i słonecznych. Fakt, nie mamy za wiele słońca w tej części Europy. Tyle że zawsze o tym wiedzieliśmy.

Kiedy okazuje się, że eksperyment dał rezultaty znacznie poniżej oczekiwań, dawne obawy idą w kąt. Nawet te, którymi karmiono ościenne kraje, sugerując im wprost, jak bardzo są zaściankowe i przaśne, chcąc nadal używać węgla, a nie wiatraków czy paneli słonecznych. Polska stała się jedną z ofiar „zielonych” oczekiwań – bombardowana opowieściami o straszliwym smogu, zawstydzana, karana finansowo. Nasze niezależne źródła pozyskiwania energii miały po prostu przestać istnieć. Zapłacili za to cenę choćby ubożsi Polacy. Jako pracownik socjalny odwiedzam lokale socjalne i komunalne, w których rok lub dwa lata temu przymusowo wymieniono dawne „kafloki” na małe piecyki elektryczne, usytuowane najczęściej tuż pod nieszczelnymi oknami. Rachunki za prąd moich podopiecznych poszybowały w górę, a w lokalu jest dużo zimniej, niż bywało, gdy palili węglem (lub czym kto miał). Potwierdza się stara prawda: prądem nigdy skutecznie nie ogrzejemy mieszkania.

Tymczasem Niemcy przywracają na chybcika swoje elektrownie węglowe do pełnej wydajności operacyjnej. Tak, wszystkie. Stoi to w oczywistej kontrze do dotychczasowej polityki energetycznej Niemiec, ale kto by się tym przejmował? Na pewno nie Niemcy. Ogłosi się w mediach, że konieczne było sięgnięcie po rezerwowe moce wytwórcze, i odfajkowane.

Co to pokazuje? Dwie rzeczy. Że w sytuacji podbramkowej człowiek odwołuje się do sprawdzonych rozwiązań, choćby im latami zaprzeczał i je podważał. I że węgiel nie ma konkurencji, chyba że stanowiłby ją ewentualnie atom, którego Polska nie ma i mieć nie będzie. Żadne wiatraki, żadna zależność od kaprysów pogody i nieprzewidywalnego klimatu nie zapewnią nam stabilnego ciepła w mieszkaniach i nieprzerwanego dopływu prądu w gniazdku. Jaki to będzie węgiel, czyj, skąd przywieziony (a może jednak własny?), za ile kupiony, kto na tym zyska – to kwestie ważne, ale drugorzędne.

Zawsze byłam zwolenniczką energetyki węglowej i zdania nie zmienię, choćby wszystkie legislacje unijne deptały mi po piętach. Ciekawie jest teraz obserwować, że punkt widzenia zależy od punktu siedzenia, i że Niemcy muszą przełknąć tę żabę. Gdy tylko potrzeba, okazuje się ona zresztą całkiem smaczna.

Szkoda tylko, że Polska – i inne kraje Europy Wschodniej – zapłaciła już za zmianę polityki energetycznej wysoką cenę zwolnień z pracy, przekształceń, zbyt gwałtownie podejmowanych decyzji, które dotykają u nas całych społeczności. A to zapewne jeszcze nie koniec.

eprasa.pl d90fd1bdd3

Protest, którego nie było,
czyli matrix w Warszawie 2025 roku

Czy liczny protest ludzi z całej Polski w Warszawie dotyczący **fundamentalnego bezpieczeństwa** kraju może być zepchnięty w medialną nicość? Może. Ostatnie wydarzenie pokazuje, że front medialny działa u nas na wyniszczenie przeciwnika.

Jakub Pacan

eprasa.pl d90fd1bdd3

Nigdy dość mówienia, że żyjemy w demokracji medialnej, gdzie najważniejsze są obrazki i tzw. nasycenie medialne danego wydarzenia. Co innego jednak o czymś wiedzieć, a co innego tego doświadczyć. 9 stycznia w Warszawie odbył się wielki protest branży energetycznej zorganizowany przez NSZZ „Solidarność", w którym uczestniczyły też delegacje wszystkich większych central związkowych w Polsce: OPZZ, Forum Związków Zawodowych, WZZ Sierpień 80, Kontra i związki branżowe.

Górnicy i energetycy demonstrują w obronie miejsc pracy, Warszawa, 9 stycznia br.

Fot. T. Gutry

Za ścianą milczenia

Zebrało się około kilkudziesięciu tysięcy ludzi, przy czym nie ma oficjalnych danych nt. frekwencji. Sięganie zaś po „oficjalne" statystyki ratusza czy policji przy przemilczeniu tego wydarzenia przez władze państwowe mija się z celem. Wiadomo, jak wyglądało ustalanie liczby uczestników Marszów Niepodległości w ubiegłych latach przez ratusz.
Ścisłe centrum stolicy było na kilka godzin wyłączone. I co? I nic. Osoby zamknięte w liberalno-lewicowej bańce sprzyjającej obecnemu rządowi miały ograniczoną szansę dowiedzenia się o wydarzeniu, na które zjechali ludzie z całej Polski, ponieważ tego wydarzenia w najważniejszych mediach „po tamtej" stronie po prostu nie było. Nie wzmiankowały o tym „Rzeczpospolita", TVN, Onet, Wirtualna Polska, TVP Info, Polskie Radio, Gazeta.pl, RMF24. Strona internetowa papierowej „Wyborczej" wspomniała tylko jednym tytułem: „Górnicy protestowali na ulicach Warszawy. Wuwuzele tak głośne, że nie było słychać przemówień". Jedynie Polsat zaopiekował się medialnie tym tematem. TVP zdobyła się tylko na posłanie na ulice dziennikarzy z warszawskiego oddziału Telewizji Polskiej.

Dolary przeciw orzechom, że gdyby Al-Dżazira miała swój oddział w Warszawie, to ludzie na Bliskim Wschodzie mieliby choćby migawkę z tego protestu. W końcu frekwencyjnie to jeden z największych protestów, który Solidarność zorganizowała w ostatnich latach. Dość wspomnieć, że gdy czoło kolumny było kilkaset metrów za hotelem „Novotel", koniec przemarszu znajdował się jeszcze przy Muzeum Narodowym przy Alejach Jerozolimskich. Całą długość wypełniał nieprzerwany tłum ludzi.

Pytanie: „Dlaczego główne media wygumkowały to wydarzenie?", więcej mówi o wyroku na nasze tradycyjne źródła energii i implikowaniu nam Zielonego Ładu niż setki debat na temat sprawiedliwej transformacji i dawania Polsce czasu na amortyzację skutków dekarbonizacji. Czytanie „między wierszami" sytuacji z 9 stycznia pozwala dostrzec fakt, że temat wygaszenia kopalń i wprowadzenia zielonej ideologii w Polsce ma nastąpić szybko i bez dyskusji.

W świecie medioznawców krąży anegdota, że od czasów afery Watergate to media są pierwszą władzą, i choć instytucjonalnie nie ma to umocowania, to praktyka „mediokracji" wskazuje, że po ponad 50 latach od tamtego wydarzenia w Ameryce władza mediów jeszcze się umocniła.

Prawda czasu, prawda ekranu

Powstała nawet cała teoria agenda-setting, ba, to już paradygmat w medioznawstwie, według którego media wybierają spośród tysięcy informacji pewne tematy i ustalając ich hierarchię oraz ważność, operują nastrojami mas, kształtują opinię publiczną oraz wpływają na decyzje i zachowania klasy politycznej poprzez kreowanie polityki zadowolenia bądź niezadowolenia wobec poczynań aktorów politycznych, buntu bądź miłości wobec pewnych obiektów politycznych, poparcia bądź jego spadku.

Jak to działa? Sklejenie danej osoby z negatywnymi emocjami działa często jak mechanizm opisany przez Pawłowa. W efekcie widok krzyczącego związkowca (czemu miałby nie krzyczeć, skoro jest na proteście?) bądź polityka, np. Jarosława Kaczyńskiego, ma poprzez kategoryzację emocjonalną wywoływać w widzu

eprasa.pl d90fd1bdd3

odruch sprzeciwu, złości, niezgody i negacji. To samograj, ponieważ emocje wychodzą z naszego wnętrza, dlatego odbieramy je jako stuprocentowo prawdziwe i „nasze”, bo są z nas. To przybrało już rozmiar całych operacji psychologicznych.

Jest to tak ważne, że Donald Tusk postanowił uznać Polsat i grupę TVN jako spółki strategiczne, gdy pojawiła się możliwość zmiany ich właścicieli na tych niekoniecznie sprzyjających obecnej władzy. Ten sam Tusk mówił zresztą jeszcze w czasach swojego pierwszego premierowania, że „najważniejsze jest to, co się dzieje między 19 a 20”, mając na myśli emitowane w TVN „Fakty” o godz. 19.00, które kończyły się mniej więcej o godz. 19.30, kiedy to ruszały „Wiadomości” w TVP Info.

Nic dziwnego w tym zatroskaniu Tuska o media – wybitny znawca mediów i komunikacji politycznej, prof. Winfried Schulz udowodnił przed laty, że zainteresowanie polityką rosło w RFN wraz z rozpowszechnianiem się odbiorników telewizyjnych wśród Niemców. We Włoszech telewizja masowa miała zaś taką siłę oddziaływania, że dzięki niej ustalił się kanon języka włoskiego, który dziś znamy.

Gumkowanie nieprzyjaciół

Obok agenda-setting jest jednak agenda-cutting, czyli wycinanie tematów niewygodnych z przestrzeni medialnej. My, Polacy, jesteśmy na to szczególnie wyczuleni, ponieważ w PRL to właśnie szukanie tego, czego oficjalnie nie ma w doniesieniach medialnych, doszukiwanie się sedna sprawy w tematach przemilczanych, czytanie książek, szczególnie historycznych, jak gdyby prawdziwa treść była pisana sympatycznym atramentem, stanowiło często klucz hermeneutyczny do zrozumienia zakłamywanej rzeczywistości. Niestety coraz wyraźniej wracamy do tych praktyk.

I w końcu wpisująca się w agenda-cutting praktyka niepodawania ręki, tak mocno eksponowana w III RP przez Adama Michnika. Redaktor naczelny „Gazety Wyborczej” stosował tę stygmatyzację wobec ważnych postaci życia publicznego. Jednym publicznie zapowiadał, że ręki nie poda, jak choćby prezesowi PiS Jarosławowi Kaczyńskiemu, innym wahał się podać rękę, ale w końcu się przełamywał, jak w przypadku Czesława Kiszczaka, jeszcze innym nie tylko podawał rękę, ale nawet się z nimi przytulał, np. z Wojciechem Jaruzelskim.

Ten prosty, choć bogaty w znaczenia gest stosowany przez red. Michnika ma swoją rozbudowaną teorię, a nawet cały ruch zwany cancel culture, czyli kultura unieważniania. W świecie przeładowania informacjami, wręcz ekshibicjonizmu medialnego, fakt, który nie zaistnieje w mediach, ginie w przepaściach internetowego śmiecia informacyjnego. Są nawet teorie mówiące, że fakt medialny jest ważniejszy od tego, co rzeczywiste.

Przywołany Adam Michnik i jego medium są o tyle ważni, że przez całe lata „Gazeta Wyborcza” potrafiła nakręcać mało istotny temat z uporem maniaka, np. polski szowinizm, antysemityzm, nacjonalizm. Wielu prawicowych publicystów dziwiło się, czy nie szkoda „Wyborczej” cennych łamów na niszowe tematy. Po 20 latach okazało się, że owo uporczywe nasycanie medialne tematów mało nośnych i często mało znanych przyniosło owoc, wiele z nich zaczęło bowiem rozpalać debatę publiczną do białości. Nawet początkowo niezainteresowani poczuli się w końcu wywoływani do tablicy, by choćby bronić się przed absurdalnymi tezami i zarzutami rzucanymi przez „Wyborczą”. I o to chodziło, bo wokół zagadnień wcześniej niszowych zaczęło robić się głośno.

Przemilczanie i wykluczanie w konsekwencji odbiera prawo do istnienia. Cancel culture prowadzi do podważania legitymizacji źle widzianych działań i odbierania im fundamentalnego sensu istnienia.

MY, POLACY, JESTEŚMY WYCZULENI NA WYCINANIE TEMATÓW Z AGENDY MEDIALNEJ. W PRL TO WŁAŚNIE SZUKANIE TEGO, CZEGO NIE MA W DONIESIENIACH MEDIALNYCH, BYŁO NAPRAWDĘ WAŻNE.

OBOK AGENDA-SETTING JEST JEDNAK AGENDA-CUTTING, CZYLI WYCINANIE TEMATÓW NIEWYGODNYCH Z PRZESTRZENI MEDIALNEJ.

eprasa.pl d90fd1bdd3

KARUZELA Z BLOGERAMI

ZYGFRYD CZABAN

NASZE GRANICE

Obecne granice Polski są nieporównanie korzystniejsze niż przedwojenne.

Owszem, jest kilka wad: jesteśmy państwem o ok. 1/5 mniejszym niż wtedy, straciliśmy dwa wspaniałe centra kultury polskiej (Lwów i Wilno), a wielka liczba ludzi musiała przejść przez cierpienia związane z przesiedleniem.

Jednak zdecydowanie w tym temacie dominują zalety, zwłaszcza w ujęciu długofalowym.

Polska nabrała zwartego kształtu. Przypominam, że przedwojenne terytorium było skrajnie niedogodne. Niekiedy romantycznie porównywano je do serca. Jeśli tak, to było to serce z ciężką wadą wrodzoną. Np. najkrótsza droga z Gdyni do Wilna wiodła przez trzy obce państwa (Wolne Miasto Gdańsk, Niemcy i Litwę). Najkrótsza droga z Poznania do Katowic oraz z Torunia do Suwałk wiodła przez Niemcy. Z Suwałk do Wilna – przez Litwę. Z Gdyni do Warszawy, Suwałk, Lublina i Lwowa – przez Wolne Miasto Gdańsk i Niemcy. Z Zakopanego do Kołomyi – przez Czechosłowację (a w 1939 r. przez Słowację i Węgry). Przykłady można mnożyć. Porównajmy to z dzisiejszą Polską.

Przed wojną, jeśli wpisało się Polskę w koło o powierzchni równej powierzchni kraju, to poza tym kołem znajdowały się miasta takie jak Poznań, Wilno, Bydgoszcz i Gdynia. Obecnie z większych miast są to tylko Szczecin i Przemyśl.

Znacznemu skróceniu uległa granica lądowa – z 5409 do 3043 km, za to radykalnie wydłużyła się granica morska – ze 140 do 524 km. Uzyskaliśmy ujścia Odry i Wisły, dwóch wielkich rzek, których zdecydowaną większość dorzeczy kontrolujemy. Dostały nam się porty w Gdańsku, Szczecinie, Świnoujściu, Elblągu i Kołobrzegu. Dzięki tak długiemu wybrzeżu mamy też prawo do około 30 tys. km² obszarów morskich na Bałtyku.

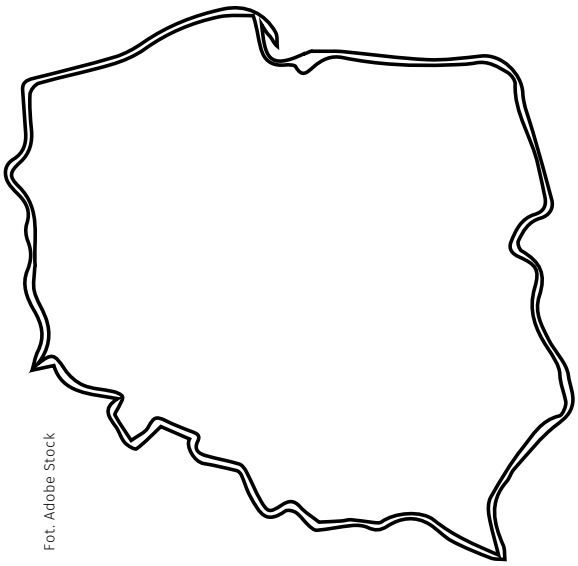

Fot. Adobe Stock

Ponad połowa obecnych granic Polski przebiega po wodzie (brzegu morskim, zalewach, jeziorach, rzekach). Tam, gdzie granica biegnie lądem, jest ona obecnie na długich odcinkach silnie zgeometryzowana, czyli biegnie po linii prostej albo łagodnym łuku (dotyczy to całej lądowej granicy z Niemcami, Rosją, Białorusią i Ukrainą).

Obecnie 96,5% powierzchni Polski to dorzecza rzek, które mają swoje ujście do morza w Polsce. Przed wojną odsetek ten wynosił... 1,5%! W takim układzie niemożliwe były sensowna żegluga śródlądowa czy gospodarowanie zasobami wodnymi.

Najbardziej problematyczni z naszych sąsiadów to Rosja i Niemcy. Granice z nimi uległy radykalnemu skróceniu w stosunku do 1939 r. W przypadku Niemiec (łącznie z Wolnym Miastem Gdańskiem) – z 2172 do 467 km (pięciokrotnie). W przypadku Rosji – z 1412 km do 210 km (siedmiokrotnie).

Polska przesunęła się zdecydowanie na zachód, dzięki czemu wyszliśmy ze strefy, którą Rosja historycznie uważa za swoją. Na zachód od Bugu/ linii Curzona, Rosja nie ma zasadniczo apetytów terytorialnych, a jedynie dąży do wasalizacji. Zawsze to jakaś pociecha.

Na skutek przesunięcia terytorialnego i związanych z nim przesiedleń obszar zamieszkały przez Polaków w zwartej masie skokowo się zwiększył (przed wojną mniej niż 60% terytorium Polski było zamieszkane przez Polaków w zwartej masie, obecnie grubo ponad 99%).

eprasa.pl d90fd1bdd3

Wolność słowa w uścisku demokracji

Każdy nowy dzień przynosi nowe wypowiedzi polityków i ludzi tworzących ich medialne i eksperckie zaplecze ukazujące narastający problem elit władzy z obecnym poziomem swobody wypowiedzi. Ktoś naiwny mógłby spodziewać się, że rządzący uważają za niewystarczający poziom wolności w debacie publicznej czy pluralizm obecnych w niej poglądów. Jest jednak zupełnie inaczej. **Pod pretekstem** ochrony demokracji przed zewnętrznymi ingerencjami i fałszywymi informacjami przedstawiciele elit już niemal wprost postulują wprowadzenie cenzury. Niektórzy z nich już nad nim pracują.

Krzysztof Karnkowski

Proces ten widoczny jest zarówno na poziomie Unii Europejskiej, jak i na naszym krajowym podwórku. Problemem międzynarodowym stał się portal X (dawny Twitter), należący do Elona Muska. W Polsce władza atakuje poszczególne zbliżone do opozycji media, a jej wrogiem jeden stała się Telewizja Republika. Stacja ta na różne sposoby sekowana jest od wyborów, jednak ostatnio zjawisko to przybrało na sile. Przedstawiciele rządu mówią już nawet o odebraniu niezależnemu nadawcy koncesji.

Sól w unijnym oku

Elon Musk Twittera kupił w październiku 2022 roku, a przymierzał się do tego już wiele miesięcy wcześniej. Plany te i ich późniejsza realizacja od początku budziły obawy liberalno-demokratycznych elit w Stanach Zjednoczonych. Ludzie, którzy przez lata wszelką formę zgodnej z poglądami właścicieli wielkich portali społecznościowych lewicującą cenzurę usprawiedliwiali prawami prywatnej własności, zaczęli obawiać się, że jeden z głównych graczy wymknie im się z rąk. I tak się też stało. Portal, który w styczniu 2021 roku zbanował w ostatnich dniach urzędowania samego prezydenta Donalda Trumpa, kupiony został przez najbogatszego człowieka na świecie, który na przestrzeni lat zbliżył się w wielu sprawach do obozu konserwatystów. Ta przemiana doprowadziła go aż do wsparcia Trumpa w wyborach 2024 roku i – jak sądzi wielu ekspertów – przyczyniła się znacząco do „odczarowania” Donalda Trumpa, a w efekcie do odzyskania przez niego

Fot. Adobe Stock

Białego Domu. Jeszcze przed wyborami, gdy Musk na swojej platformie przeprowadził długą rozmowę z popieranym przez siebie kandydatem, ze strony Unii Europejskiej pojawiły się pierwsze sygnały, że działalność przechrzczonego na X Twittera jest przez nią uważnie obserwowana. „Ponieważ odpowiednie treści są dostępne dla użytkowników z UE i są rozpowszechniane również w naszej jurysdykcji, nie możemy wykluczyć potencjalnych skutków ubocznych w UE" – pisał ówczesny komisarz Thierry Breton, strasząc, że wszelkie negatywne konsekwencje publikacji nielegalnych treści (co jest nielegalnego w rozmowie z kandydatem na prezydenta?) skutkować będą działaniami „przy użyciu pełnego zestawu narzędzi, w tym poprzez przyjęcie środków tymczasowych, jeśli będzie to uzasadnione, w celu ochrony obywateli UE przed szkodami". Zapędy Bretona wówczas zostały spacyfikowane przez jego przełożonych, jednak dziś, choć nie ma go już w Komisji Europejskiej, tamte pomysły okazały się dużo bardziej trwałe.

URZĘDNICY UNIJNI OBAWIAJĄ SIĘ OLBRZYMICH ZASIĘGÓW ELONA MUSKA I CORAZ GŁOŚNIEJ MÓWIĄ O NAŁOŻENIU KAR.

Dwa fronty Elona Muska

Elon Musk uskrzydlony sukcesem w amerykańskiej polityce coraz śmielej próbuje wpływać na nastroje polityczne w Europie. Szef platformy X walczy dziś przede wszystkim na dwóch frontach: brytyjskim i niemieckim. Rządowi w Londynie podpadł po raz pierwszy kilka miesięcy temu, gdy na Wyspach doszło do zamieszek spowodowanych gniewem na kryminalne zachowania imigrantów (przede wszystkim chodziło o dramatyczne historie powtarzalnych, wieloletnich gwałtów dokonywanych przez Pakistańczyków na brytyjskich dziewczynkach) i ich ukrywanie lub pobłażliwe traktowanie przez władze w imię politycznej poprawności. Przekaz brytyjskich mediów zgodny na ogół z narracją rządzących, szedł jednak w poprzek emocji społecznych, którym za kanał komunikacji posłużył właśnie Twitter. Dziś tamte wydarzenia mają swoją kontynuację – Musk z jednej strony wspiera mocno jedyną wyłamującą się z poprawności politycznej partię Reform UK znanego i u nas dobrze Nigela Farage'a (choć – jak się zdaje – nie samego Farage'a), równocześnie ujawnia kolejne dokumenty i skandale obciążające premiera Keira Rodneya Starmera i obecną ekipę. Z punktu widzenia UE ważniejsze jest jednak oddziaływanie amerykańskiego biznesmena na politykę Niemiec. Musk kilkukrotnie powtarzał w ostatnim czasie, że określana na ogół jako skrajna prawica AfD (Alternatywa dla Niemiec) jest jedynym ratunkiem dla tego państwa, a w ostatnich dniach przeprowadził na swoim portalu szeroko komentowaną rozmowę z Alice Weidel, jedną z liderek ugrupowania, a zarazem jego kandydatkę na kanclerz Niemiec. Urzędnicy unijni obawiają się olbrzymich zasięgów Muska (według niektórych ekspertów podkręcanych za pomocą specjalnego algorytmu, co dawałoby pretekst do interwencji jako niezgodnej z przepisami UE) i coraz głośniej mówią o nałożeniu na niego kar w związku z naruszeniami DSA – Aktu o Usługach Cyfrowych. Równocześnie liderzy zarówno z Niemiec, jak i innych

europejskich krajów potępiają bezprecedensową ich zdaniem ingerencję w kampanię wyborczą. Tak jakby wcześniej inni, tyle że liberalni, miliarderzy nie wpływali na wewnętrzną sytuację poszczególnych państw, choćby poprzez sieci fundacji czy zakup mediów – jak najbardziej znany z podobnej działalności George Soros.

Wyłączyć media społecznościowe

Jak pisaliśmy przy okazji amerykańskich wyborów prezydenckich, polski obóz rządzący całą swoją aktywność dotyczącą Stanów podporządkował przekonaniu o nieuchronności zwycięstwa Joe Bidena, a następnie Kamali Harris. Im bardziej nerwowa stawała się reakcja na wygraną Donalda Trumpa, tym większa złość na Elona Muska i portal X. Choć do niedawna był on bezwzględnie eksploatowany przez prorządowe farmy trolli w rodzaju Silnych Razem i Sieci na Wybory, dziś stał się dla wielu wrogiem numer jeden. Zwłaszcza że samego prezydenta najpotężniejszego państwa na świecie mimo wszystko krytykować jest dziś trudniej. Prekursorem był tu Szymon Hołownia, który już w marcu 2023 r. mówił o Twitterze, że jest to „[...] miejsce, które oczywiście mogło służyć, i kiedyś służyło, wymianie informacji. I w niektórych zakątkach nadal temu służy, ale wygenerowało tyle nieszczęścia na świecie, tyle nienawiści, tyle bezkarnego pogardzania innymi, co później psuje całą debatę, że należy to zamknąć albo ograniczyć”. Dziś mówi tak prawie cała liberalna klasa polityczna. Publicysta Witold Jurasz stwierdza w telewizyjnej dyskusji, że aby ograniczyć oddziaływanie niestabilnej emocjonalnie władzy USA (!), trzeba będzie „po prostu zablokować media społecznościowe pana Muska”, a w artykule dla portalu Onet dorzuca, że przyszedł już czas na blokadę Twittera i Facebooka w Europie. Skąd w tym gronie bardziej dotąd liberalny portal Marka Zuckerberga? Po wyborach w USA Zuckerberg zmienił politykę i zapowiedział, że weryfikatorów informacji wywodzących się na ogół z mainstreamowych mediów zastąpią (podobne do działających na X) dużo bardziej demokratyczne uwagi społeczności. W tym samym czasie właściciel FB oskarżył też Unię Europejską o narastające zapędy cenzorskie. Skoro główny nurt traci kolejny przyczółek, reaguje po swojemu – zapowiedzią ograniczania dostępu do usług internetowych na wzór białoruski czy turecki, który jeszcze niedawno sam potępiał.

MINISTERSTWO CYFRYZACJI CHCE PRZYZNAĆ UKE PRAWO DO BLOKOWANIA TREŚCI W INTERNECIE BEZ DECYZJI SĄDU I WIEDZY AUTORA.

PUBLICYSTA WITOLD JURASZ STWIERDZA, ŻE PRZYSZEDŁ JUŻ CZAS NA BLOKADĘ TWITTERA I FACEBOOKA W EUROPIE.

UKE kontra konstytucja

Ministerstwo Cyfryzacji pracuje tymczasem nad przepisami, które odbiły się w sieci szerokim echem i które, według części prawicowych komentatorów, mogą w niedługiej perspektywie stać się zarzewiem protestów. Oto w nowym brzmieniu zmienianej właśnie ustawy o świadczeniu usług drogą elektroniczną już po konsultacjach społecznych pojawiły się niepokojące zapisy. Jak podaje portal Spider’s Web, zmiany umożliwią UKE „[...] natychmiastowe zablokowanie w internecie treści, które uzna za naruszające «dobra osobiste lub prawa własności intelektualnej, wyczerpujące znamiona czynu zabronionego albo pochwalające lub nawołujące do popełnienia takiego czynu». Każda tego typu sprawa będzie rozpatrywana przez prezesa UKE w czasie postępowania nie dłuższego niż 21 dni, w którym nie będzie mógł uczestniczyć autor treści. Decyzje o zablokowaniu treści będą wykonywane natychmiastowo, bez zgody sądu”. Jak ma się do tego art. 30 konstytucji mówiący, że „cenzura prewencyjna środków społecznego przekazu oraz koncesjonowanie prasy są zakazane”, politycy nie tłumaczą. Wysłany do gaszenia pożaru wiceminister Dariusz Standerski tłumaczy w Polskim Radiu, że „nie będą blokowane całe strony, tylko poszczególne treści, które są nielegalne, i będzie to blokowanie, a nie usuwanie. Jeżeli sąd stwierdzi, że nie było to działanie właściwe ze strony UKE, treść wraca do obiegu”. Możliwość wyrażania swoich poglądów zderzy się tym samym nie tylko z państwową cenzurą, ale i progiem ekonomicznym: szansę na jej wywalczenie będzie

eprasa.pl d90fd1bdd3

miał tylko ten, kogo stać będzie na koszty procesu sądowego. A przecież dochodzi do tego jeszcze kwestia przewlekłości naszych postępowań przed sądami, obciążenie ich sprawami, o wszystkich wątpliwościach, związanych z mandatem poszczególnych sędziów i prokuratorów już nawet nie wspominając.

Na wojnie z Republiką

Nowy rok przyniósł zaostrzenie relacji na linii rząd – Telewizja Republika. Od przejęcia władzy ta niezależna i kojarzona z opozycją stacja pozbawiana była możliwości udziału w konferencjach prasowych przedstawicieli gabinetu Donalda Tuska, również tych dotyczących bezpośrednio bezpieczeństwa obywateli, związanych z powodzią. Po wyemitowaniu przez tę stację reportażu naszej autorki Moniki Rutke, poświęconego właśnie braku pomocy dla powodzian, a także nagłośnieniu jej pytań do Jerzego Owsiaka w sprawie środków przekazanych na ten cel WOŚP przez instytucje państwa, stacja została oskarżona o sprowokowanie gróźb, które kilka osób miało wysłać Owsiakowi. Akcja mająca wiele cech wspólnych z oskarżaniem dawnej Telewizji Polskiej o zainspirowanie mordercy Pawła Adamowicza (zarzut ten nie znalazł potwierdzenia w wyroku sądu) wygląda na przygotowanie opinii publicznej na kroki mające utrudnić bądź uniemożliwić jej funkcjonowanie. Oburzeni widzowie, namawiani przez autorytety, masowo wysyłają skargi na stację, której nie oglądają, a minister Krzysztof Gawkowski oskarżył Republikę o szczucie i stwierdził: „Konsekwencje powinny być mocne [...]. Takie zachowania wprost wskazują, że powinniśmy mówić o cofnięciu koncesji". Słowa te wzbudziły szereg kontrowersji, znakomicie pokazują jednak sposób myślenia obecnej władzy. Na jej nerwowość na pewno nie bez wpływu pozostaje fakt, że po wielkim sukcesie, którym był debiutancki sylwester zorganizowany w Chełmie przez stację, jej oglądalność wciąż rośnie, co pozwala na nawiązanie wyrównanej walki nawet z dobrem strategicznym rządu Donalda Tuska – TVN 24.

MINISTER KRZYSZTOF GAWKOWSKI OSKARŻYŁ REPUBLIKĘ O SZCZUCIE I STWIERDZIŁ, ŻE WIDZI PODSTAWY DO COFNIĘCIA STACJI KONCESJI.

Wciąż im mało

Wszystko wskazuje niestety na to, że sytuacja będzie eskalować. Obok szykowanych przez Gawkowskiego przepisów nakładających na internet rządowy kaganiec powstaje też przecież ustawa o mowie nienawiści, która również da rządzącym narzędzia do arbitralnego ustawiania debaty publicznej. Jak widać, zawsze znajdzie się też nadgorliwy emeryt, który zadzwoni gdzieś z pogróżkami, a następnie zezna, że do takiego zachowania sprowokowało go niewygodne dla władzy medium. Cenzura czy odbieranie koncesji to jednak dla wielu wciąż za mało. Chętnie zapraszana przez media ekspertka ds. dezinformacji (współpracująca też z kompromitującą się właśnie na potęgę Komisją ds. badania wpływów rosyjskich i białoruskich w Polsce w latach 2004–2024), dr Katarzyna Bąkowicz na antenie Polsatu ubolewa, że biznes nie zgodził się na plan, by głosiciele nieprawomyślnych poglądów byli zwalniani z pracy. Ponieważ jednak walka klasowa zaostrza się w miarę postępów rewolucji i rewolucja liberalna nie jest tu wyjątkiem, można obawiać się, że co się odwlecze, to nie uciecze. Chyba że zamordystyczne tendencje dzisiejszych elit władzy napotkają jednak na społeczny opór, jak przed laty stało się z planami wprowadzenia ACTA 2.

MOŻLIWOŚĆ WYRAŻANIA SWOICH POGLĄDÓW ZDERZY SIĘ Z PROGIEM EKONOMICZNYM: SZANSĘ NA JEJ WYWALCZENIE BĘDZIE MIAŁ TYLKO TEN, KOGO STAĆ BĘDZIE NA KOSZTY PROCESU SĄDOWEGO.

eprasa.pl d90fd1bdd3

Nadszedł czas sztuki konformistycznej

– Mamy do czynienia, nie tylko w Polsce zresztą, z czymś w rodzaju „paradoksalnej rewolucji”. Jeśli mówimy o rewolucji, mamy na myśli oddolny ruch skierowany przeciwko elitom. Tutaj mamy z kolei rewolucję „à rebours”, to znaczy wychodzącą od elit, które próbują przebudować społeczeństwo i jego kulturę – mówi **Piotr Bernatowicz**, historyk sztuki i kurator, właściciel galerii S7, w rozmowie z **Agnieszką Żurek**.

– Czy poprzez przyznanie przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego rocznego stypendium dla Jasia Kapeli i jego nieszczęsnej pseudotwórczości, osiągnęliśmy już dno, czy kopiemy dalej w mule? I czy to jest taki rodzaj dna, od którego da się odbić, czy raczej taki, w którym będziemy grzęznąć? Czy widzi Pan szanse na otrzeźwienie po stronie zwolenników „sztuki prowokacyjnej”?

– Zacznijmy od tego, że to nie jest twórczość prowokacyjna czy awangardowa, ponieważ tutaj nie ma ryzyka ponoszonego przez artystę. Jest to działalność, która służy autorytarnej władzy, z jaką mamy dziś do czynienia. Nie można tutaj także liczyć na otrzeźwienie, bo nie są to rzeczy czynione nieświadomie przez ludzi opętanych skrajną ideologią, ale ewidentna linia programowa ministerstwa. Premier Donald Tusk oddał kluczowe instytucje, czyli edukację i kulturę, w ręce środowisk lewicowych. I te środowiska po prostu realizują swoją agendę.

Myślę, że Kapela posłużył jako narzędzie w prymitywnej politycznej ustawce, której celem jest podburzenie ludzi, dla których religia jest sprawą ważną, więc zareagują spontanicznie oburzeniem. Można ich będzie następnie przedstawić jako tzw. katolicki ciemnogród. Takie działanie stanowi kontynuację tego, z czym mieliśmy do czynienia w przypadku chorwackiego reżysera Olivera Frljicia, który zrealizował „Klątwę”, przedstawienie z wątkami atakującymi pamięć o św. Janie Pawle II. Później ataki na polskiego papieża obserwowaliśmy już w sferze publicznej, były one wygłaszane przez polityków. Zaczyna się zatem od działań w obszarze sztuki, bo tam więcej rzeczy jest dopuszczalnych i łatwo wykorzystać ją jako instrument, a następnie przechodzi się do innych obszarów: mediów, edukacji, mając już wcześniej przygotowany grunt wśród opinii publicznej w postaci utrwalonych obrazów o ładunku emocjonalnym. Podam przykład – jeśli najpierw pokaże się Jana Pawła II powalonego na ziemię w Zachęcie – Narodowej Galerii Sztuki i medialne autorytety zaczną to uzasadniać różnymi pokrętnymi wywodami, to kilka lat później bezczeszczenie pomników papieża na ulicach i placach nie będzie już wzbudzać kontrowersji. Tu należałoby pytać nie tyle o sztukę i kwestie estetyczne, ile o mechanizmy inżynierii społecznej. Są to w moim odczuciu działania czysto polityczne, niewiele mające ze sztuką wspólnego.

eprasa.pl d90fd1bdd3

Fot. M. Żegliński

– A co z odbiorcami tego rodzaju pseudosztuki? Bywają zniesmaczeni, ale są już tak mocno zblatowani finansowo lub mentalnie z obecnym systemem politycznym, że będą milczeć?

– Dokładnie. Świat sztuki, instytucje publiczne, publiczne media zostały w ostatnim roku całkowicie „wyczyszczone" z osób nonkonformistycznych, z ludzi nastawionych krytycznie wobec ideologicznego sojuszu liberałów z radykalną lewicą. Ci, którzy zostali, są śmiertelnie przerażeni i drżą o zachowanie swoich posad, zatem takie postawy jak konformizm są na porządku dziennym. Od roku jesteśmy świadkami przyspieszonej rewolucji kulturowej. To jest kuriozalne, że na Zachodzie przedstawia się polski rząd jako liberalno-konserwatywny, podczas gdy pod tymi hasłami kryje się radykalna lewicowa agenda. W sferach kluczowych dla tożsamości prowadzona jest bardzo agresywna rewolucja kulturowa. Opór może być zatem jedynie oddolny.

– I chyba tak się dzieje. Ostatnio fenomenem stała się Mała Armia Janosika, zyskując popularność w mainstreamie. Istnieje duże zapotrzebowanie odbiorców na piękno, polskość, normalność, wartości, a tymczasem serwuje się nam coś tak beznadziejnego, jak pseudosztuka Jasia Kapeli. Żyjemy w świecie zdrowego trzonu polskiego społeczeństwa i chorych decydentów.

– To, co Pani nazywa „zdrowym trzonem społeczeństwa", według agendy mainstreamowej, czyli liberalno-lewicowej, zostałoby określone mianem bazy współczesnego populizmu, którą właśnie rząd Tuska chce zneutralizować, podążając zresztą śladem europejskich elit. W Polsce mamy jeszcze o tyle dobrą sytuację, że takie fenomeny mogą się mimo wszystko pojawiać i że one się jednak przebijają do powszechnej świadomości, natomiast

eprasa.pl d90fd1bdd3

w zachodnich społeczeństwach akcja pacyfikowania odruchów normalności w kulturze zaszła już tak daleko, że tam właściwie takie fenomeny pojawiają się jedynie na marginesach. Istnieje jednak społeczne zapotrzebowanie na tego rodzaju treści. Mamy do czynienia, nie tylko w Polsce zresztą, z czymś w rodzaju „paradoksalnej rewolucji”. Jeśli mówimy o rewolucji, mamy na myśli oddolny ruch skierowany przeciwko elitom. Tutaj mamy z kolei rewolucję „à rebours”, to znaczy wychodzącą od elit, które próbują przebudować społeczeństwo i jego kulturę.

PREMIER DONALD TUSK ODDAŁ KLUCZOWE INSTYTUCJE, CZYLI EDUKACJĘ I KULTURĘ, W RĘCE ŚRODOWISK LEWICOWYCH. I TE ŚRODOWISKA PO PROSTU REALIZUJĄ SWOJĄ AGENDĘ.

– Utwory Małej Armii Janosika podbiły serca odbiorców na Zachodzie. Mamy obecnie rząd, który zawsze twierdził, że konserwatyści sprawiają, iż Europa się z nas śmieje, że jesteśmy wsteczni, zaściankowi itd. Tymczasem fakty mówią zupełnie coś innego – ludzie spoza naszego kraju zachwycili się polską kulturą ludową i katolicką, odbierając ją jako powiew czegoś czystego, świeżego. Chyba mają już dosyć drag queens w lateksach, które stały się mainstreamem w świecie sztuki.

– Mogę się odnieść także do fenomenu z obszaru sztuk wizualnych, który można podobnie zinterpretować. Myślę tutaj o inicjatywie „Teologii Politycznej” i Dariusza Karłowicza pod tytułem „Namalować katolicyzm od nowa”. Karłowicz postawił współczesnym artystom zadanie, żeby przymierzyli się oni do motywów religijnych zawartych w tajemnicach Różańca Świętego. Wyzwanie podjęli wybitni artyści, którzy istnieją w obiegu galeryjnym, ja sam także organizowałem ich wystawy. Jarosław Modzelewski, Ignacy Czwartos czy Beata Stankiewicz, czyli znakomici malarze, twórcy obecni w świecie sztuki współczesnej, podjęli tematykę bardzo tradycyjną, religijną. I co się okazało? Ich prace przyciągają tłumy. Na wernisażu w podziemiach praskiej archikatedry była frekwencja, którą trudno zaobserwować na wystawach w publicznych instytucjach zasilanych ogromnymi środkami finansowymi. I oczywiście mówimy tutaj o sztuce profesjonalnej, to nie jest rodzaj takiej amatorszczyzny, którą uprawia Jaś Kapela, „radosnej twórczości”, która może bronić się jedynie tym, że stara się jawić jako „antysystemowa”. Tutaj mamy do czynienia z poważnymi artystami, którzy są wyrzucani z instytucji publicznych albo brutalnie cenzurowani tylko dlatego, że dotykają w swojej twórczości sfery sacrum. Warto przy tym pamiętać, że instytucje, które ich cenzurują, są finansowane przez ogół społeczeństwa, a nie jedynie przez wąski lewicowy mainstream. Mamy tu do czynienia z używaniem narzędzi politycznych do przemodelowywania kultury.

– Został Pan odwołany ze stanowiska dyrektora CSW, ale nie poddał się Pan, otworzył w Warszawie galerię sztuki. Jak sobie Pan radzi jako „wróg systemu”?

– Wolę identyfikować się jako zwolennik wolności. Wolność jest warunkiem do zaistnienia innych wartości. Wolność wyboru, wolność wypowiadania się, wolność słowa są w sferze kultury wartościami podstawowymi. Od tego trzeba zacząć, żeby w ogóle zmierzać od innych wartości, takich jak prawda czy piękno. To dla mnie jest kluczowa wartość i za to tak naprawdę zostałem wyrzucony z Zamku Ujazdowskiego. Włączałem do obiegu sztuki współczesnej i sztuki mainstreamowej artystów wypowiadających się właśnie w sposób wolny i tworzących rzeczy, które nie podobają się mainstreamowi, więc są przez ten mainstream cenzurowani. Zostałem bardzo skrytykowany m.in. za wystawę sztuki z lat 80. To był kamień obrazy dla współczesnych kuratorów lewicowych. Ośmieliłem się pokazać w Centrum Sztuki Współczesnej sztukę lat 80., twórczość antysystemową, która szukała schronienia między innymi w kościołach – bo jedynie tam istniała wówczas przestrzeń wolności artystycznej. A dziś nie jest to poprawne politycznie, by mówić o Kościele jako instytucji chroniącej wolność, bo Kościół jest jedną z niewielu, jeśli nie jedyną, instytucji społecznych, które mogą stanowić przeszkodę dla postępu owej odgórnej rewolucji, więc się Kościół niszczy.

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego oraz środowisko lewicowe są w swych dzia-

eprasa.pl d90fd1bdd3

łaniach konsekwentne. Po prostu cenzurują i brutalnie niszczą wszystkich, którzy domagają się wolności. Chcę jednak myśleć pozytywnie, nie skupiać się na przeciwniku, ale na tym, co jest wartością, którą należy chronić i którą należy pokazywać. To podejście stało jest podstawą mojej obecnej działalności. Otworzyłem niezależną galerię o nazwie S7 przy ulicy Senatorskiej 7 w Warszawie. Jest to przestrzeń wolności sztuki. Otworzyliśmy wspólnie z moją żoną Elizą galerię w listopadzie wystawą dwóch artystów zatytułowaną „Orwell meets Orwell". Wystawa poprzez prace typograficzne artysty z Wielkiej Brytanii, Stevena Kenny'ego, i artysty z Rosji, Siergieja Biesowa, opowiadała właśnie o zagrożeniach dla wolności na Wschodzie, gdzie są one dość oczywiste – w postaci Władimira Putina i jego zbrodniczej działalności wobec Ukrainy i własnego społeczeństwa, ale także zagrożenia dla wolności na Zachodzie, o którym mówi w swoich pracach Steven Kenny. Była to więc taka symboliczna, programowa dla mnie wystawa, gdzie dwóch artystów ze Wschodu i Zachodu spotyka się w Warszawie i mówi o tym, że dzisiaj wolności trzeba bronić. Drugą wystawę otworzyliśmy 3 stycznia tego roku. Jest to ekspozycja brytyjskiej artystki Miriam Ellie, w bardzo elegancki sposób, z humorem i wielką inteligencją opowiadającą o zagrożeniach, które niesie polityczna poprawność. To jest prawdziwa artystka antysystemowa. Pokazuje ona, w jaki sposób można mówić o rzeczach ważnych, krytykować mainstream i ukazywać, jak bardzo on jest zaściankowy i tak naprawdę zabobonny. Nie znajdziemy tu agresywnej i łopatologicznej prowokacji, jaką zaprezentował Jaś Kapela, ale elegancję i humor. W lutym otworzymy wystawę polskiej artystki Beaty Stankiewicz, która pokaże bardzo ciekawy cykl malarski pod tytułem „Pochwała cienia".

Myślę, że celem obecnej władzy, a zwłaszcza tych środowisk, które rządzą teraz w obszarze kultury, jest to, żeby spróbować swoich oponentów, postrzeganych jako tradycjonalistów czy konserwatystów, zagnać do katakumb. Wiele osób temu ulega, ale uważam, że to błąd. W moim odczuciu sensowniejsze, choć trudne, jest przyjęcie postawy otwartej i pozytywnej. „Każdemu zapewnia się wolność twórczości artystycznej, badań naukowych oraz ogłaszania ich wyników, wolność nauczania, a także wolność korzystania z dóbr kultury" – mówi nasza konstytucja i trzeba z tego korzystać i domagać się respektowania tego prawa. Tak naprawdę wartości, których bronimy, nie są wartościami jakiejś jednej grupy politycznej czy światopoglądowej, ale wartościami podstawowymi, bez których nie mogliby działać także ci, którzy je obecnie zawzięcie zwalczają. Bez wolności niemożliwa jest jakakolwiek ekspresja, a jej przeciwnicy podcinają tak naprawdę gałąź, na której siedzą. Każda rewolucja zaczyna z czasem zjadać własne dzieci. Efekty zwalczania „wrogów ideologicznych" najlepiej widać po frekwencji w publicznych galeriach sztuki. Ludzie chcą prawdziwej kultury, a nie jej namiastki. Ci, którzy chcą zwiększyć widownię swoich wystaw, nie zauważają tego, że problem nie tkwi w tym, jak popularyzować, tylko w tym, co popularyzować. Dopóki sztuka będzie miała charakter „odgórny", narzucający społeczeństwu określone treści, a nie wyrażający to, czym społeczeństwo żyje, ludzie będą po prostu omijać publiczne galerie. I nie pomoże tutaj żadna rozbudowana akcja edukacyjna czy popularyzatorska przypominająca peerelowskie „szkolenia polityczne".

„KAŻDEMU ZAPEWNIA SIĘ WOLNOŚĆ TWÓRCZOŚCI ARTYSTYCZNEJ, BADAŃ NAUKOWYCH ORAZ OGŁASZANIA ICH WYNIKÓW, WOLNOŚĆ NAUCZANIA, A TAKŻE WOLNOŚĆ KORZYSTANIA Z DÓBR KULTURY" – MÓWI NASZA KONSTYTUCJA I TRZEBA Z TEGO KORZYSTAĆ I DOMAGAĆ SIĘ RESPEKTOWANIA TEGO PRAWA.

Piotr Bernatowicz jest historykiem i krytykiem sztuki, kuratorem, nauczycielem akademickim i menedżerem kultury. W latach 2020–2024 był dyrektorem Centrum Sztuki Współczesnej Zamek Ujazdowski w Warszawie. Obecnie prowadzi galerię S7 przy ul. Senatorskiej 7 w Warszawie: s7art.pl.

eprasa.pl d90fd1bdd3

Cynglizm, czyli o strażnikach uśmiechu

Z wrogami uśmiechniętej władzy **nie zawsze da się po dobroci**. Gdy zawodzą pouczenie, ostrzeżenie i nagana, przychodzi czas na twardsze metody. Wtedy zjawiają się dziennikarscy cyngle. Ich fach być może nie przynosi chluby, ale przecież ktoś tę brudną robotę musi wykonać.

Ludwik Pęzioł

Czym różni się typowy dziennikarz polityczny od medialnego cyngla? Dziś niewielu redaktorów ukrywa swoje sympatie partyjne, a patrzenie na ręce politykom zarówno własnej, jak i przeciwnej opcji zdarza się niezwykle rzadko. Mimo to stronniczość

eprasa.pl d90fd1bdd3

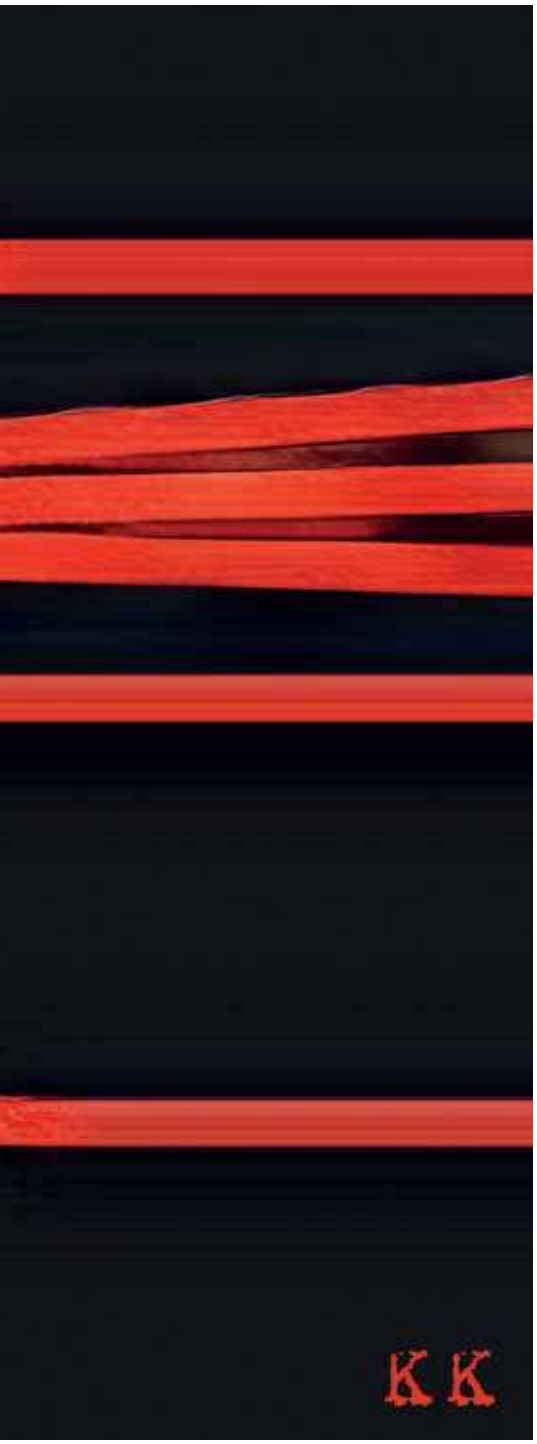

Fot. Krzysztof Karnkowski

jednych mieści się w granicach tolerancji publiczności, podczas gdy inni wzbudzają niechęć i za swoją postawę są przez odbiorców sekowani. Wydaje się, że granicę cynglizmu wyznaczają nieskrywana zła wola oraz ostentacyjny brak zainteresowania prawdą; cynglizm to rodzaj „dziennikarstwa zaangażowanego", które nawet nie próbuje pełnić funkcji kontrolnej wobec polityków, a od początku ma na celu skompromitowanie i zniszczenie wizerunku człowieka obranego za cel. Dla cyngla przyłapanie wrogiego polityka na kłamstwie, ignorancji czy ujawnienie jakiegoś wstydliwego zakamarka w jego życiorysie staje się budzącym pożądanie Świętym Graalem. I właśnie ta „chuć" najczęściej bywa przyczyną jego zguby.

Niecierpliwy snajper

„Uważam, że dziennikarz, który nie jest empatyczny i ma w sobie jakieś złe zamiary, nie może dobrze opisywać rzeczywistości" – mówił Patryk Michalski w wywiadzie udzielonym portalowi uniwersyteckiemu w 2020 roku. Nie można wykluczyć, że dziennikarz w momencie wypowiadania tych słów rzeczywiście w nie wierzył. Jednak, jak wielu innych, w odpowiednim momencie zmienił swoje zawodowe credo na bardziej opłacalne.

Łatwo wyobrazić sobie typowy wieczór Patryka Michalskiego, kiedy to obmyśla rutynowy plan wywiadu z politykiem. Najpierw kreśli słabe punkty swojego gościa, co do których jest absolutnie pewien; dalej zastanawia się nad tymi, które potencjalnie mogą się okazać słabymi – rozpisuje tropy, chcąc odkryć, czego będzie bała się jego „ofiara". Rozpoczyna rozpoznanie terytorium – która ze ścieżek okaże się najbardziej obiecująca? Którą warto będzie podążyć, by z wizerunku gościa polało się jak najwięcej medialnej krwi? Dobrze przygotowuje się do polowania, opracowując przy okazji drogi ucieczki na wypadek, gdyby któryś strzał okazał się niecelny. Mapa przeciwnika gotowa; jutro można ruszać na polowanie.

Gdy Michalski wchodzi na „scenę", wstępuje w niego chłód, a w jego spojrzeniu widać intensywną analizę. Pozostaje niewzruszony przez całą rozmowę, a swoim stoicyzmem odbiera przeciwnikowi pewność siebie. Trzeba przyznać, że kilkukrotnie mu się poszczęściło, a zwycięstwa odniesione nad takimi medialnymi wygami jak Krzysztof Bosak (z którym wygrał co najmniej dwie konfrontacje) sprawiły, że zasmakował w triumfie i zapragnął więcej. Jednak świdrujący głód kompromatu ostatecznie go zgubił i z dziennikarza budzącego obawy stoczył się w śmieszność.

> CYNGLIZM TO RODZAJ „DZIENNIKARSTWA ZAANGAŻOWANEGO", KTÓRE OD POCZĄTKU MA NA CELU SKOMPROMITOWANIE I ZNISZCZENIE WIZERUNKU OBRANEGO ZA CEL CZŁOWIEKA.

Do najbardziej widowiskowych wpadek Michalskiego należy publiczne zarzucenie Marlenie Maląg (minister rozwoju i technologii za rządów PiS), że nie potrafi korzystać z telefonu komórkowego, ponieważ ekran jej urządzenia w trakcie prowadzonej rozmowy... był zaciemniony. Ach, gdyby

eprasa.pl d90fd1bdd3

okazało się, że osoba, której powierzono misję cyfryzacji Polski, nie potrafi obchodzić się z popularną „komórką” – cóż to by był za strzał! Niestety, Michalski nie wziął pod uwagę, że zaciemniony ekran nie wyklucza możliwości używania telefonu, co bezlitośnie wytknęli mu internauci. Nie pierwszy i nie ostatni raz jego dziennikarska „snajperka” wybuchła mu w rękach. Miał też problem z prostym zsumowaniem diet poselskich – tak bardzo chciał udowodnić, że nielubiani przez niego posłowie coś „zachachmęcili” przy zdawaniu sprawozdań majątkowych, że zawiodła go prosta matematyka. Podobnie nie zrozumiał, że będący przeciwnikiem wprowadzenia euro w Polsce Karol Karski może pobierać zapłatę w euro za pracę w Parlamencie Europejskim. Niecierpliwość kolejnych sukcesów sprawiła, że z profesjonalnego zabójcy wizerunków polityków PiS-u i Konfederacji stał się niezwykle skutecznym wizerunkowym samobójcą.

NIECIERPLIWOŚĆ KOLEJNYCH SUKCESÓW SPRAWIŁA, ŻE PATRYK MICHALSKI Z PROFESJONALNEGO ZABÓJCY WIZERUNKÓW POLITYKÓW STAŁ SIĘ NIEZWYKLE SKUTECZNYM WIZERUNKOWYM SAMOBÓJCĄ.

Pusty magazynek

„Jestem samo dobro” – skromnie przyznała Justyna Dobrosz-Oracz w wywiadzie dla serwisu Pudelek, w którym czasami ujawnia szczegóły swojego życia osobistego. Ta autoprezentacja stanowi klucz do jej głównego deficytu – braku wglądu w siebie i zdolności do autokrytyki. Dobrosz-Oracz domaga się poważnego traktowania, choć całą swoją postawą zdaje się tej powadze zaprzeczać. Zarówno jej ekstrawaganckie, często nieparlamentarne, stylizacje, jak i dobór pytań, które nie tyle „grillują” polityków, co wywołują u nich wyraz politowania. Rzeczywiście, niektórzy adwersarze „przyciśnięci” przez Dobrosz-Oracz wiją się w świetle kamer, ale nie pod naporem celnych, przygważdżających pytań. Powodem ich zakłopotania jest raczej irytacja natrętnym stylem dziennikarki. Do tego dochodzi jej specyficzne poczucie estetyki – odważne kreacje, które w zamyśle miały podkreślać jej walory, a wzbudzają raczej zażenowanie.

JUSTYNA DOBROSZ-ORACZ DOMAGA SIĘ POWAŻNEGO TRAKTOWANIA, CHOĆ CAŁĄ SWOJĄ POSTAWĄ ZDAJE SIĘ TEJ POWADZE ZAPRZECZAĆ.

Swoje naturalne ograniczenia pani Justyna próbuje zamaskować w autorskim programie telewizyjnym, gdzie z pomocą przychodzą jej „nożyce” montażysty. Przerwanie odpowiedzi rozmówcy w odpowiednim momencie może stworzyć iluzję, że został zapędzony w kozi róg. Są to jednak chwyty niskich lotów, dostrzegalne dla każdego widza, który nie zapisał się do grona oddanych fanów pani Justyny. Innym, równie prymitywnym sposobem jest zasypywanie polityków stertą dziwacznych zarzutów z nadzieją, że choć jeden z nich „przyklei się” do celu – przykładem jest choćby sugestia, że minister Przemysław Czarnek może serio myśleć o wprowadzeniu państwowego zakazu seksu dla przyjemności. Problem polega na tym, że Dobrosz-Oracz nie stosuje techniki obrzucania błotem zbyt sprawnie. Wychodzi bowiem z założenia, że jej przeciwnicy są bardziej nierozgarnięci od niej, co rzadko znajduje potwierdzenie w rzeczywistości. Posługiwanie się karykaturami poglądów swoich oponentów może być skuteczne w czarnej propagandzie, ale jeśli samemu uwierzy się w ich treść, łatwo można postrzelić się we własną stopę. W przeciwieństwie do Patryka Michalskiego, który mimo swoich wpadek potrafi być groźny, Justyna Dobrosz-Oracz stanowi raczej obciążenie dla „gwardii uśmiechu”. Ale... kto wie – może kiedyś, biegając po sejmowych korytarzach, trafi na niedyspozycję polityka opozycji i zdobędzie wreszcie upragniony kompromat?

eprasa.pl d90fd1bdd3

„Wolność wiodąca lud na barykady”

„To jasne, że mam wyrobione poglądy polityczne. Ale zostawiam je w domu” – mówiła Dorota Wysocka-Schnepf w 2007 roku w wywiadzie dla „Dziennika”. Od tamtego czasu wiele się zmieniło. „Pani Ambasadorowa” odkryła, że nic na świecie nie jest moralnie neutralne – dlaczego więc dziennikarstwo miałoby być wyjątkiem?

Do swojej nowej roli w niezależnej stacji telewizyjnej przygotowywała się długo. Jeszcze niedawno ścigała zbrodniarzy wojennych na Kostaryce, a dziś nabyte wówczas umiejętności może wykorzystać w ściganiu „zbrodniarzy przeciw wolności i demokracji” w Polsce. W jej kodeksie moralnym nie ma miejsca na paktowanie ze złem, co podkreśla tytuł jej programu: „Rozmowy niesymetryczne”. Dla wielu widzów tego cyklu oddana twarz prowadzącej symbolizuje odnowę moralną „odzyskanych” mediów publicznych, a posągowość urody – wzniosłość idei walki z autokracją. W przeciwieństwie do wielu medialnych cyngli nie jest bowiem cyniczną najemniczką, lecz osobą konsekwentną i ideową. Cechuje się też ponadprzeciętną „czujnością rewolucyjną” – jest przekonana, że zdrajca może być bliżej, niż się wydaje, również w rządzącej koalicji.

Podstawową metodą, którą stosuje „Pani Ambasadorowa”, jest budowanie w widzach moralnego wzmożenia. Nie boi się sugerować, że warto oddać życie w walce z „kaczyzmem” (jak w rozmowie z żoną samobójcy Piotra Szczęsnego w Dzień Zaduszny), ani udzielać głosu „represjonowanym” przez poprzedni reżim, takim jak Arkadiusz Szczurek czy Maciej Maleńczuk. To ona jako jedyna sięgnęła po tych „świadków historii”, którzy dziś tworzą „panteon bohaterów walki z autorytaryzmem”. Wysocka-Schnepf ewidentnie wierzy w swój wkład w walkę o „wolny świat”, co czyni ją zdolną do jeszcze większych poświęceń niż postaci wcześniej wspomniane. Byłoby to zabawne, gdyby ofiarą nie stała się dziennikarska etyka.

Jak widzimy, wybranie przez dziennikarza drogi reżimowego cyngla może wynikać z różnych pobudek: chciwości, zemsty, żądzy sławy, ale i... przekonania o konieczności powstrzymania zła za wszelką cenę. Niezależnie od motywu utrata powszechnego szacunku przez taką osobę wydaje się naturalnym sposobem obrony społeczeństwa przed przesuwaniem kolejnych granic moralnych w walce politycznej. Pamiętać należy o tym szczególnie w kontekście władzy, której sztandarowym hasłem jest dialog, miłość i odbudowa wspólnoty.

DOROTA WYSOCKA-SCHNEPF EWIDENTNIE WIERZY W SWÓJ WKŁAD W WALKĘ O „WOLNY ŚWIAT”, CO CZYNI JĄ ZDOLNĄ DO WIELKICH POŚWIĘCEŃ ORAZ PRZESUWANIA KOLEJNYCH GRANIC ETYKI DZIENNIKARSKIEJ.

Z wielkim smutkiem
przyjąłem wiadomość o śmierci

Tadeusza Kucharskiego

wieloletniego przewodniczącego
Rady Krajowej Sekcji Transportu Drogowego
NSZZ „Solidarność”.

W imieniu Komisji Krajowej
Niezależnego Samorządnego
Związku Zawodowego „Solidarność”
składam szczere wyrazy współczucia
rodzinie, bliskim i przyjaciołom Zmarłego.

Tadeuszu, spoczywaj w pokoju.

Piotr Duda
przewodniczący
Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność”

eprasa.pl d90fd1bdd3

Oddajcie nam ORKIESTRĘ!

Ten tekst nie będzie obroną Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy ani tym bardziej Jerzego Owsiaka. Nie będzie też polemiką z licznymi ostatnio publikacjami, pokazującymi wątpliwości, które wobec WOŚP narosły latami, a które ostatnio wręcz eksplodowały przy okazji przekazania przez państwo fundacji Owsiaka pieniędzy na pomoc w zwalczaniu skutków powodzi. Gdzieś poza tymi dwiema opowieściami **jest ta trzecia**, wspomnienie czegoś, co wielu z nas pamięta, choć tak naprawdę chyba nigdy się nie wydarzyło.

Krzysztof Karnkowski

Fot. T. Gutry

eprasa.pl d90fd1bdd3

Pisząc o swoim doświadczeniu, podejrzewam, że będę opisywać coś, co przeżyły w swoim czasie dziesiątki tysięcy młodych ludzi. Niektórzy po latach potrafili spojrzeć bardziej krytycznym okiem na dowodzących całym tym zamieszaniem, inni pozostali wierni swojemu młodzieńczemu entuzjazmowi. Po raz pierwszy i pewnie nie ostatni nasuwa się tu porównanie Jerzego Owsiaka z Lechem Wałęsą. Jeszcze 10 lat temu spotykałem ludzi, którzy ogólnie nastawieni krytycznie do III RP i bliscy środowisk konserwatywnych nie mogli pogodzić się z odbrązowioną biografią Wałęsy. Uważali ją za zakwestionowanie własnej młodości, własnej historii i entuzjazmu. Jednak kolejne lata medialnej aktywności byłego prezydenta i przywódcy „S" często zmieniły ostatecznie ich optykę.

Trudna młodzież trudnych czasów

Z Jerzym Owsiakiem może stać się podobnie w chwili, gdy dla władzy Wielka Orkiestra staje się czymś w rodzaju hojnie wspieranej przez państwo religii państwowej. Czasem może aż dziwić, że Owsiak, który wylansował się przed laty jako przedstawiciel pewnej (oczywiście działającej w ramach systemu i późnego PRL i III RP) alternatywy i kontrkultury, nie widzi, jak szkodzi sobie wizerunkowo tą symbiozą. Z drugiej strony, skoro przeszły wizyty przedstawicieli Wojska Polskiego na pacyfistycznym z nazwy i ornamentyki Festiwalu Woodstock, przejść może wszystko – i wciąż jeszcze przechodzi. To jednak temat na zupełnie inne teksty. Wróćmy do początku lat 90. Młodzi ludzie wchodzą w świat, na który niespecjalnie zostali przygotowani. Gdy dziś wspominam swoje początki odkrywania muzyki czy subkultur młodzieżowych, z pewnym zdziwieniem uświadamiam sobie, jak bardzo wszystko było wówczas nowe i tak naprawdę niepewne. Gdy po raz pierwszy udało mi się wyrwać z domu na rockowy koncert (Kult, Izrael i Immanuel w warszawskim liceum Kopernika), umowną, reglamentowaną wolnością III RP cieszyliśmy się dopiero dwa lata! Wchodzący wówczas w okres młodzieńczego buntu ludzie przechodzili przez nieznane kilku poprzednim generacjom doświadczenie: świat, w który wkraczali, był zupełnie inny niż ten, do którego przyuczała ich szkoła i do którego przygotowywali ich rodzice. Miało to swoje skutki, dziś często zapominane, a dla wielu młodszych ludzi chyba już nawet niewyobrażalne – jak kolejki po mięso czy brak towarów późnego PRL. Najważniejsza z nich była wszechobecność agresji na przełomie lat 80. i 90., agresji, która tak na dobre zanikła dopiero na początku nowego tysiąclecia.

o tyle w tamtym czasie było to zjawisko wszechogarniające. Skini tłukli punków, ci czasem się odgryzali, metale bili się z depeszami, dresiarze z każdym, kogo uznali za obcego, a zdarzało się, że granica między pobiciem a zabiciem była zbyt łatwa do przekroczenia. Dzieciaki, które ledwo co skończyły podstawówkę, kradły sobie buty, kurtki i rozmaite precjoza, biły i kopały, a czasem też potrafiły ściąć komuś włosy. Ta frustracja nie brała się znikąd, głowy łamali sobie nad nią publicyści i psychologowie, a czasem zdarzało im się też postraszyć polityków tkwiącym w tym wszystkim potencjale buntu. Zwłaszcza że kluczowym elementem ówczesnych subkultur była muzyka, a kluczowym elementem muzyki mniej lub bardziej wywrotowy – chuligański, anarchistyczny, narodowy i/lub nihilistyczny przekaz. Jerzy Owsiak

> DLA WŁADZY WIELKA ORKIESTRA STAJE SIĘ CZYMŚ W RODZAJU HOJNIE WSPIERANEJ PRZEZ PAŃSTWO RELIGII PAŃSTWOWEJ.

Uliczna kultura

„Jeśli chcesz pochodzić w mieście/ Tak wieczorkiem albo w nocy/ Wiedz, że będą tam gówniarze/ Oddający hołd przemocy" – śpiewał w 1992 roku popularny wówczas przez chwilę warszawski zespół Dee Facto. O ile wcześniej na Zachodzie, a obecnie również w Polsce, przemoc funkcjonowała raczej w enklawach, zapełnianych przez ludzi godzących się na pewne brutalne, lecz mające też swoją socjalizującą wartość zasady, takich jak grupy kibiców czy niektóre subkultury,

jako organizator i dziennikarz muzyczny był niejako w centrum tego wszystkiego, lansując w radiowej trójce, a wcześniej również w Rozgłośni Harcerskiej, bardzo wielu młodych, punkowych wykonawców, docierających do tysięcy młodych ludzi w miejscowościach całego kraju, tych z wielkich miast i tych z gwałtownie pauperyzującej się Polski mniejszych miast, która za chwilę stanie się Polską powiatową, zapomnianą. Co byłoby, gdyby stało się tak, jak w innej piosence Dee Facto, i młodzi ludzie zamiast

eprasa.pl d90fd1bdd3

walczyć ze sobą, zjednoczyli się i stanęli „ramię w ramię przeciw kłamcom”?

Bunt przeszły niedokonany

Piotr Lisiewicz od lat lansuje pogląd o roli Owsiaka jako wentylu bezpieczeństwa. Ostatecznie, czy był lepszy sposób, niż zajęcie młodych ludzi czymś tak dobrym i szlachetnym, jak Wielka Orkiestra? Być może tak właśnie było, tak jak Jarocin na pewno był kontrolowaną formą ujścia emocji za komuny – i zniknął w swej pierwotnej formie, gdy tylko stał się niepotrzebny. Orkiestra, jako niekończąca się w dużym stopniu w swej pierwszej fazie oddolnie organizowana trasa koncertowa, była początkowo tysiącem małych Jarocinów – od wielkich sal koncertowych do szkolnych sal gimnastycznych. Potem odeszła od tych emocji na długo przed tak krytykowanym wejściem Owsiaka w politykę już bez żadnych niedomówień. Jednak właśnie tej pierwszej emocji trzeba dziś bronić, tak, by nie została zniszczona przez jednych, a zawłaszczona przez drugich. Emocji tych wszystkich nastolatków, którzy na chwilę poczuli się częścią czegoś wielkiego i dobrego, a przy okazji, trochę podpuszczeni i pokierowani, pokazali światu dorosłych, że nie muszą być złowrogą siłą niszczącą, że mogą zrobić coś dla innych – i robili to, zanim doszło do komercjalizacji, a potem specyficznego upaństwowienia, a wreszcie sakralizacji Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy. Żywioł został pozostawiony sam sobie, być może dlatego że nastroje okrzepły wraz z powolnym wzrostem gospodarczym III RP i wyprowadzeniem potencjału gniewu na emigrację zarobkową. Część, z przyczyn już wspomnianych, została przy pisanej na nowo legendzie szefa WOŚP, dorośleje i wyzbywając się ideałów na rzecz ich nowego, wygodnego i uładzonego, niepotrzebującego więc żadnych pytań wyobrażenia. Po resztę jednak, może nawet po część tych cyników i sentymentalistów, można było się schylić. I tu popełniono błąd.

Błąd krytyków

Krytycy nie potrafili oddzielić armii od wodza. Tak jak nikt nie przekreślał Solidarności z racji wątpliwych kart w historii Lecha Wałęsy, tak z całej Orkiestry czy wszystkich uczestników Woodstocku zrobiono jedną masę – zindoktrynowany, często też naćpany czy pijany, bezmózgi tłum, stado podążające za liderem. Bez niuansowania, bez (może poza przywołanym Lisiewiczem) szukania przyczyn tak dużej popularności inicjatywy Jerzego Owsiaka w początkach lat 90. Samą siłą telewizji i radia raczej nie udałoby się wykreować tak dużego poruszenia wśród tradycyjnie ostrożnych wobec podobnych operacji, związanych z anarchistycznymi lub anarchicznymi subkulturami młodych. Być może właśnie fakt, że mogą coś zdziałać w państwie, które niespecjalnie miało dla nich propozycję, wyciągnął ich na ulice, tyle że już puszkami, nie kamieniami w rękach. A przy okazji – po prostu coś się działo, a charytatywna otoczka i jeszcze skromne medialne wsparcie bywały argumentami dla rodziców, by zwyczajnie puścić syna lub córkę na koncert. Nie wszyscy byli wcześniej chętni, mając medialnie zapośredniczone wyobrażenie strasznych rzeczy, które się dzieją lub mogą się dziać. Później skorzystał na tym również Woodstock, być może dlatego, że obecne tam przecież patologie zostały już wtłoczone w plemienną, polityczną rąbankę. I znów niezbyt mądrze, jak niemądre było przeciwstawienie sobie uczestników imprezy Owsiaka z lednickich tłumów, często składających się z tych samych osób. Osób, które wyrwały się w lato z domu za pomocą podobnych argumentów, nie zawsze przejętych czy to ideologicznym bełkotem Akademii Sztuk Przepięknych, czy duchową podniosłością lednickiego spotkania. Owsiak zresztą już wtedy wpadł w swój wałęsizm, i zamiast powiedzieć, że nie dzieje się u niego nic, co nie działoby się na każdej rockowej imprezie świata, zaczął za pomocą mediów zaprzeczać faktom.

> ORKIESTRA, JAKO NIEKOŃCZĄCA SIĘ W DUŻYM STOPNIU W SWEJ PIERWSZEJ FAZIE ODDOLNIE ORGANIZOWANA TRASA KONCERTOWA, BYŁA POCZĄTKOWO TYSIĄCEM MAŁYCH JAROCINÓW.

Krzyk małego Krzysia

Klimat pierwszych Orkiestr rozmył się jeszcze zanim na dobre weszła w to wszystko wcześniej raczej jedynie podprogowo obecna polityka. Doświadczenie pokoleniowe zostało odebrane – przez sponsorów, media, dziennikarzy, w końcu przez samego organizatora. „Oddajcie nam WOŚP!” – na marne krzyczy we mnie piętnastolatek z 1993 roku, choć spełnienie tego postulatu nie jest możliwe. Nie można oddać czegoś, co nam się tylko wydawało.

eprasa.pl d90fd1bdd3

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

Karol Gac

Do biegu, gotowi, start!

Marszałek Sejmu Szymon Hołownia oficjalnie poinformował, że I tura tegorocznych wyborów prezydenckich odbędzie się 18 maja, druga zaś – jeśli będzie konieczna – 1 czerwca. Tym samym oficjalnie rozpoczyna się kampania prezydencka, która w rzeczywistości trwa już od kilku miesięcy.

Niedawne sondaże wyraźnie pokazują duży spadek poparcia dla Rafała Trzaskowskiego. Kandydat Koalicji Obywatelskiej jeszcze niedawno wydawał się być bardzo pewny swego. Jednak jego prekampania okazała się fatalna, a prezydent Warszawy popadł w stagnację. W mediach coraz częściej pojawiają się pytania o jego zdolności przywódcze i umiejętności prowadzenia kampanii. Do tego stopnia, że zaczęły się publiczne spekulacje na temat ewentualnej zamiany kandydata KO, a więc sięgnięcia po manewr z 2020 roku, co już samo w sobie jest upokarzające dla Trzaskowskiego.

Kandydat KO z trwogą obserwuje, jak jego rywal, Karol Nawrocki, prowadzi swoją kampanię oraz zyskuje coraz większe poparcie. Już teraz umiejętnie wykorzystuje on nowoczesne narzędzia komunikacji, co pozwala mu dotrzeć do młodszych wyborców, którzy są zmęczeni tradycyjnymi politycznymi schematami. Oczywiście, kandydat popierany przez PiS dopiero będzie odsłaniał poszczególne karty, ale faktem jest, że ma dobry start – zwłaszcza gdy weźmiemy pod uwagę, że traci zaledwie kilka punktów procentowych do Trzaskowskiego.

Coraz gorzej radzi sobie za to Szymon Hołownia, który w niedawnych sondażach zanotował zaledwie 7–8 proc. poparcia. Inna rzecz, że marszałek Sejmu był w ostatnich tygodniach mocno atakowany przez liberalno-lewicowe media. Czyżby zatapiano Hołownię, by wspomóc Trzaskowskiego? Donald Tusk jest wszakże weteranem, jeśli chodzi o eliminowanie konkurentów politycznych.

Warto zwrócić uwagę również na Sławomira Mentzena, który chyba już na stałe wskoczył na trzecie miejsce. To, co najbardziej ciekawe w tej kampanii, to pytanie, czy swój start w wyścigu o najwyższy urząd w państwie ogłosi ostatecznie Grzegorz Braun. W momencie, w którym piszę ten felieton, takie pogłoski przybierają na sile, a gdyby się potwierdziły, to niewątpliwie byłby to problem nie tylko dla Mentzena, ale i dla całej Konfederacji.

Do wyborów prezydenckich jeszcze cztery miesiące i naprawdę wiele się może zdarzyć. Kluczowe będą zresztą odczucia Polaków i stan ich portfeli. Okazać się może, że niezależnie od tego, co kandydaci zrobią – lub też nie – wybory staną się plebiscytem „za” lub „przeciw” obecnej koalicji. Na koniec warto też pamiętać, że sondaże, choć bywają pomocne, to jednak są wyłącznie tylko wycinkiem rzeczywistości i coraz częściej potrafią się mylić. Najważniejsze badanie odbędzie się 18 maja. Wtedy spotkajmy się przy urnach, by nie tylko oddać głos, ale i wpłynąć na historię naszego kraju.

eprasa.pl d90fd1bdd3

Gospodarka

Masowa imigracja, czyli WZROST NIERÓWNOŚCI

Utrzymanie, a nawet zwiększanie masowej imigracji do Polski to jeden z **wiecznie żywych** postulatów przedsiębiorców. Ich argumenty oczywiście odwołują się do powszechnego dobrobytu i korzyści, które z przyjazdu cudzoziemców mieliby czerpać „wszyscy". Na podstawie badań ekonomicznych spróbujemy określić, kto należy, a kto nie, do owych „wszystkich".

Michał Ciesielski

Poprawiający się poziom życia stara się często przedstawić za pomocą wzrostu produktu krajowego brutto (PKB). Wyższy PKB miałby oznaczać wyższą stopę życia mieszkańców, a skoro tak, to wszystkie zjawiska podnoszące PKB są również korzystne dla naszego bogactwa. Z tego prostego schematu starają się korzystać autorzy, który chcą przedstawić imigrację w jak najlepszym świetle. Nie tylko zresztą imigrację zarobkową, bo nawet napływowym uchodźcom przypisywano niedawno zbawienne dla gospodarki skutki.

I tak analitycy firmy Deloitte, konsultingowego światowego giganta, wyliczyli, że przyjazd uchodźców do Polski w 2022 r. przyczynił się do wzrostu PKB o 1%. Nie ma powodów, by szacunki te negować, brzmią wiarygodnie. Co jednak zrobili z tą informacją dziennikarze i lobbyści? Ogłosili, że dzięki przyjazdowi

eprasa.pl d90fd1bdd3

uchodźców Polska się wzbogaciła, a gospodarka rozwinęła. Wystarczy zastanowić się, czym jest PKB, by zauważyć, że jest to oczywiste nadużycie. Ponieważ PKB mierzy, ile wytworzono wszystkich dóbr i usług w kraju, to możemy porównać kraj do fabryki, a PKB do jej całkowitej produkcji. Gdy w fabryce nagle zatrudnimy dodatkowe kilka procent załogi, to wiadomo, że produkcja nie spadnie, a prawdopodobnie wzrośnie. Nie oznacza to jednak, że fabryka będzie bardziej rentowna ani tym bardziej, że pozostali pracownicy staną się bogatsi. Tak samo zwiększenie polskiego PKB przez uchodźców nie oznacza, że Polacy się wzbogacili ani że gospodarka się rozwinęła, a co najwyżej, że urosła.

Kto zyskuje, a kto traci?

Nie oznacza to też jednak, że imigracja koniecznie musi kogoś zubażać. Problem ten badają ekonomiści rynku pracy. Na podstawie danych o zatrudnieniu i wynagrodzeniach sprawdzają oni, czy przyjazd imigrantów wpływa na zarobki i bezrobocie wśród miejscowej ludności.

Fot. Adobe Stock

IDEAŁ OTWARTYCH GRANIC KRAJU ROZWINIĘTEGO DLA TANIEJ SIŁY ROBOCZEJ OZNACZA UBOŻENIE UBOGICH I BOGACENIE SIĘ BOGATYCH.

Część tych badań podsumowaliśmy w niedawno opublikowanym raporcie Centrum Myśli Gospodarczej pt. „Migracja pod lupą. Jakie są koszty otwartych granic?". Warto przytoczyć te wyniki, by mieć obraz tego, czy imigracja jest korzystna dla obywateli kraju przyjmującego migrantów, a dokładniej – jak zobaczymy dalej – dla których mieszkańców jest korzystna, a dla których nie.

Okazuje się, że w ocenie wpływu imigracji na pensje i zatrudnienie kluczowe znaczenie ma to, jak szeroko nakreślimy zakres badania. Gdy ekonomiści próbują oszacować wpływ imigracji na zarobki wszystkich dotychczasowych mieszkańców kraju, to często osiągają wyniki wskazujące na brak wpływu tego czynnika albo bardzo niewielkie jego znaczenie. Co innego, gdy postanowią podzielić tych mieszkańców na różne grupy w zależności od poziomu wykształcenia albo wysokości zarobków.

W takich badaniach często dochodzi się do wniosku, że to, co dla całego przekroju społeczeństwa daje średnio „zero", oznacza istotny minus dla jednej, a istotny plus dla innej grupy. Nie ma tu niespodzianki, najbardziej stratni są ci, wobec których imigranci stanowią największą konkurencję na rynku pracy. W krajach prowadzących politykę otwartych granic są to najczęściej słabiej wykwalifikowani i gorzej zarabiający pracownicy, gdyż ta grupa imigrantów jest zawsze najliczniejsza, gdy zasady przyjmowania cudzoziemców nie stawiają istotnych wymagań. Jak silny jest ten efekt?

W opracowaniu „Co wiemy o wpływie imigracji na rynek pracy?" Rafał Trzeciakowski cytuje wyniki metaanalizy, a więc badania polegającego na zebraniu wyników wielu badań i ich statystycznym opracowaniu, wpływu migracji na rynki pracy. Wskazały one, że średnio przyjazd imigrantów odpowiadający 10% populacji obniżał pensje pracowników o 2,1% w USA i aż o 16,1% w Europie. Podobne różnice widać w tym, jak imigracja oddziałuje na zatrudnienie krajowych pracowników. W USA przyjazd 10-procentowej liczby imigrantów powodował średnio wzrost zatrudnienia krajowych pracowników o 0,3%, podczas gdy w Europie i Izraelu spadek o 8,4%.

W badaniu na danych z brytyjskiej gospodarki w latach 1993–2017 oszacowano z kolei, że przyjazd imigrantów stanowiących

eprasa.pl d90fd1bdd3

6,7% siły roboczej spowodował spadek wynagrodzeń najmniej zarabiających Brytyjczyków o 5,2% oraz wzrost dochodów najlepiej zarabiających o 4,4%. Ideał otwartych granic kraju rozwiniętego dla taniej siły roboczej oznacza ubożenie ubogich i bogacenie się bogatych.

Gdyby jednak udało się zaprojektować politykę imigracyjną pod konkretne potrzeby społeczeństwa, które przyjmuje imigrantów, rezultaty mogłyby być zgoła odmienne. W naszym raporcie przytaczamy badanie imigracji do Kanady i próbę oszacowania wpływu wieloletniej imigracji do tego kraju na wynagrodzenia. Cechą charakterystyczną Kanady przez wiele lat był tzw. system punktowy, w którym pożądanym przez to państwo cechom osoby ubiegającej się o prawo do pobytu nadawano ustaloną liczbę punktów. Więcej punktów otrzymują tam kandydaci z wyższym wykształceniem, znajomością języka urzędowego czy w młodszym wieku.

Skutkiem tego w latach 1980–2000 imigranci stanowili ok. 30% wszystkich pracowników z wyższym wykształceniem w tym kraju, a jedynie ok. 5% pracowników z wykształceniem średnim i niższym. Te inne względem typowej imigracji do państw rozwiniętych proporcje skutkują odwróconym wpływem imigracji na zarobki. W przypadku Kanady napływ cudzoziemców podniósł zarobki najgorzej zarabiających Kanadyjczyków, a zmniejszył wynagrodzenia tych najlepiej zarabiających (w obu przypadkach o ok. 8%), przyczyniając się do zmniejszenia nierówności dochodowych. Przykład ten pokazuje, że na skutki imigracji można wpływać poprzez dobrze zaprojektowaną politykę migracyjną.

Oczywiście, wskazane wyżej uszczerbki na wynagrodzeniach nie są tak widoczne gołym okiem. Pensje bowiem w rozwijającej się gospodarce systematycznie rosną, toteż to, co nazywamy wyżej „spadkiem pensji o 5%", nie oznacza, że po przyjeździe imigrantów pracownicy zarabiali 5% mniej niż przedtem, a raczej, że zarabiali 5% mniej niż zarabialiby, gdyby imigranci nie przyjechali.

POPRAWA JAKOŚCI ZATRUDNIENIA STOI W OPOZYCJI DO POLITYKI MASOWEJ IMIGRACJI BEZ OGRANICZEŃ CO DO KWALIFIKACJI CZY WYKSZTAŁCENIA.

Otwarte granice, standardy zatrudnienia albo bezrobocie

Główna obawa krajowych pracowników dotyczy „zabierania pracy" przez imigrantów. Czy jest ona uzasadniona? W wielu przypadkach – nie. Przyjezdni pracownicy są również konsumentami, a przez to zwiększają zapotrzebowanie na pracę w firmach wokół nich. Dzięki temu zjawisku ekonomiści faktycznie często nie obserwują zmniejszenia zatrudnienia krajowych pracowników przy wzroście imigracji. Jednak nie ma w tym automatycznego mechanizmu, który z konieczności wyrównuje obie te siły.

Dużą rolę w kształtowaniu skutków imigracji na rynek pracy ma prawo chroniące pracowników. Im silniej chroni ono zatrudnionych, tym gorzej na ich sytuację wpływa imigracja. Nic dziwnego, imigranci mają większe trudności w dochodzeniu swoich praw przed sądem i chętniej podejmują pracę na czarno albo w bardziej „elastycznych" formach zatrudnienia. Dla przedsiębiorcy korzyści stanowią więc nie tylko ich niższe wymagania płacowe, ale też mniejsza zdolność do ochrony swoich praw. A skoro tak, to w bardziej propracowniczym systemie prawnym różnica między pracownikiem krajowym a imigrantem jest większa niż w systemie, w którym nawet ci krajowi pracownicy nie mają zbyt wielu praw.

Badania empiryczne potwierdzają tę logikę, wykazując wyższy negatywny wpływ imigracji na zatrudnienie lokalnej ludności w krajach o silnych instytucjach prawa pracy. Poprawa jakości zatrudnienia stoi więc w opozycji do polityki masowej imigracji bez ograniczeń co do kwalifikacji czy wykształcenia.

Ma znaczenie, gdzie kupują

Ciekawy przykład wpływu imigracji na rynek pracy pochodzi z Niemiec krótko po ich zjednoczeniu. Zaobserwowano tam szczególne warunki napływu imigrantów zarobkowych. Republika Federalna Niemiec otworzyła swój rynek pracy w 1991 r. na pracowników z Czech, pozwalając im podejmować pracę, ale nie udzieliła przy tym zezwoleń na osiedlenie się w kraju. Wkrótce w przygranicznych gminach pracę podjęło 10 tys. Czechów, stanowiąc w niektórych gminach do 10% wszystkich pracujących. Ze względu na konieczność codziennego dojazdu do pracy polityka ta nie miała wpływu na bardziej oddalone od granicy z Czechami

eprasa.pl d90fd1bdd3

części Niemiec, co stworzyło idealne warunki dla przeprowadzenia badania porównawczego.

Jakie były jego wyniki? Na każdy 1% Czechów w populacji osób pracujących w danej gminie wynagrodzenia pracowników spadały o ok. 0,28% wśród pracowników nisko wykwalifikowanych i o ok. 0,19% wśród pracowników wysoko wykwalifikowanych. Oddziaływanie to wydaje się więc niewielkie. Inaczej wyglądał wpływ na zatrudnienie – tam każdy imigrant zmniejszał zatrudnienie wśród nisko wykwalifikowanych Niemców średnio o 1,42%, a wśród wysoko wykwalifikowanych – o 0,87%. Liczby te są wyjątkowo wysokie na tle większości badań. Powodem tego może być omawiana polityka, która zezwalała Czechom pracować, ale nie osiedlać się, przez co zarobione w Niemczech pieniądze wydawali oni w dużej mierze w swojej ojczyźnie. To pouczający przykład również dla innych państw, w których imigranci zarobione pieniądze w większości przesyłają do swoich rodzin w kraju pochodzenia.

Imigranci, którzy wydają na miejscu zarobione przez siebie pieniądze, tworzą popyt na towary i usługi, a tym samym zapewniają pracę w firmach. Oszczędzając i transferując pieniądze za granicę, ten popyt zgłaszany jest na zupełnie innym rynku, a tym samym rośnie negatywny wpływ na zatrudnienie w kraju przyjmującym. Ostateczny bilans zależy oczywiście również od innych – zmiennych w czasie – czynników, tak jak w przypadku Polski, która pomimo ogromnego wzrostu liczby imigrantów w ostatnich latach nie odnotowała wzrostu bezrobocia.

Gospodarka taniej pracy

Ciekawym i nieoczywistym aspektem relacji między imigracją a gospodarką jest wpływ tej pierwszej na rozwój techniczny, skutkujący wzrostem produktywności. To właśnie ten ostatni stanowi główny motor rozwoju każdego państwa, które dzięki wykorzystaniu w firmach lepszych technologii może produkować coraz więcej, coraz bardziej wartościowych produktów, a to niesie za sobą wzrost dochodów i poziomu życia ludności. By proces ten zachodził, niezbędne są jednak nie tylko odkrycia technologiczne, które trzeba finansować, ale też inwestycje w ich wykorzystanie produkcyjne.

Wbrew powtarzanym sloganom firmy nie inwestują więcej wtedy, gdy płacą niskie podatki, nie ma regulacji, a zyski przebijają sufit, ale wtedy, gdy wymaga tego od nich twarda konkurencja na rynku. Jednym z jej aspektów jest wdrażanie nowych technologii. Maszyny, a dziś również oprogramowanie, są częstokroć wymienne na pracę człowieka. Dlatego gdy tej pracy zaczyna brakować i staje się coraz droższa, firmom bardziej opłaca się inwestować w nowe rozwiązania technologiczne, co w długim czasie popycha gospodarkę do przodu i tworzy lepiej płatne miejsca pracy. Jeśli jednak pracy nigdy nie zaczyna brakować, bo jej zasób stale jest uzupełniany z zagranicy, słabną zachęty do wprowadzania innowacji. Widać to w danych nie tylko z dzisiejszej gospodarki, ale nawet z okresu pierwszej industrializacji, o czym piszemy więcej we wspomnianym wcześniej raporcie.

Podsumowanie

Na podanych przykładach widzimy, że nawet na polu gospodarczym nie można mówić o imigracji jako zjawisku jednoznacznie korzystnym i, jak mawiają jej zwolennicy, „ratującym gospodarkę". Jak wiele kwestii związanych z rynkiem pracy, niesie ona korzyści dla jednych, a straty dla innych jego uczestników. Liberalna polityka imigracyjna, na wzór polskiej, przyczynia się zwykle do zwiększania nierówności dochodowych i nie daje się pogodzić z poprawą standardów zatrudnienia. Ceną za próbę utrzymania tych dwóch jest utrata miejsc pracy przez krajowych pracowników.

MASZYNY, A DZIŚ RÓWNIEŻ OPROGRAMOWANIE, SĄ CZĘSTOKROĆ WYMIENNE NA PRACĘ CZŁOWIEKA. DLATEGO, GDY TEJ PRACY ZACZYNA BRAKOWAĆ I STAJE SIĘ CORAZ DROŻSZA, FIRMOM BARDZIEJ OPŁACA SIĘ INWESTOWAĆ W NOWE ROZWIĄZANIA TECHNOLOGICZNE, CO W DŁUGIM OKRESIE POPYCHA GOSPODARKĘ DO PRZODU I TWORZY LEPIEJ PŁATNE MIEJSCA PRACY.

eprasa.pl d90fd1bdd3

Bilans OTWARCIA

Fot. Cheney Orr / Reuters / Forum

Donald Trump przyjmuje fotel prezydenta USA, **wciąż najsilniejszego** mocarstwa na świecie, w jednym z najtrudniejszych i najbardziej złożonych momentów w historii. Konfliktów jest bardzo dużo – tylko wojna na Ukrainie to pierwsza tak poważna wojna XXI wieku zagrażająca całemu światu. Deklaracja Trumpa o jej zakończeniu w 24 godziny po objęciu prezydentury już po wygranych przez niego wyborach zamieniła się w sześć miesięcy.

Paweł Pietkun

eprasa.pl d90fd1bdd3

Bezprecedensowy od stu lat amerykański izolacjonizm gospodarczy zapowiadany przez przyszłego prezydenta został przygaszony jego zaskakującą deklaracją zajęcia Grenlandii i Kanady.

Państwo jak koncern

Donald Trump zamierza rządzić krajem, tak jak zarządza się wielką spółką giełdową – sam już dziś zachowuje się tak, jakby przymierzał się do prowadzenia gigantycznego przedsiębiorstwa, a nie kraju, który jeszcze do niedawna był uznawany za żandarma świata prowadzącego walkę o prawa człowieka i po amerykańsku rozumianą demokrację. Jednak o tym, jaki będzie model rządzenia w USA, większość krajów Zachodu wiedziała już od dawna – to dlatego reakcje Danii, Grenlandii i Kanady na deklaracje zajęcia największej wyspy na Atlantyku i północnego sąsiada Stanów Zjednoczonych były wprawdzie stanowcze, lecz dalekie od wywoływania awantury na międzynarodowym szczeblu. Daleko groźniejsze są obietnice wprowadzenia wyższych taryf celnych na produkty z Azji i Europy.

Tego typu blefy w prowadzonych przez Trumpa biznesach zdarzały się w przeszłości nieraz i zwykle były skuteczne – znany był z tego, że zapowiadał swoim biznesowym partnerom, ale także konkurentom, przejęcie ich spółek i włączenie ich do swojego imperium. Jednak przez lata funkcjonowania w otoczeniu tuzów z Wall Street nauczył się, że w świecie najbogatszych jedyną skuteczną strategią była strategia win-win, czyli taka, która pozwala ze sporów wychodzić z twarzą obu stronom. Przejęcie jakiejkolwiek spółki powinno odbywać się w taki sposób, żeby pozbywający się więc jej właściciel odchodził od negocjacyjnego stołu z poczuciem odniesionego sukcesu i pełnym kontem. Nauczył się również, że niezadowolonego przeciwnika trzeba szanować, ale zniszczyć do końca, bo niedobity i rozzłoszczony wraca kilkukrotnie silniejszy, stając się problemem. Jeden z takich problemów doprowadził do bankructwa należących do niego kasyn w 1991 roku. To lekcja, której nie zapomniał do dzisiaj.

PRZEZ LATA FUNKCJONOWANIA W OTOCZENIU TUZÓW Z WALL STREET TRUMP NAUCZYŁ SIĘ, ŻE W ŚWIECIE NAJBOGATSZYCH JEDYNĄ SKUTECZNĄ STRATEGIĄ JEST STRATEGIA WIN-WIN.

Gra pieniędzmi i komplementami

Wielki biznes to także umiejętność publicznego prawienia komplementów. Ta umiejętność przydała się Trumpowi w polityce – tak samo krajowej (dzięki niej szybko „kupił" sobie większość Republikanów), jak i międzynarodowej, co pozwoliło mu na pierwsze od upadku Bloku Wschodniego spotkanie zachodniego lidera z koreańskim przywódcą Kim Dzong Unem i „przeciągnięcie" go przez granicę na stronę południowokoreańską. To pamiętne spotkanie pozostawiło po sobie wiele zdjęć, jednak w tym przypadku znacznie ważniejszy był odbiór Trumpa przez północno-koreańskie media. Pierwszy raz po 1948 roku (który uznawany jest za rok powstania Koreańskiej Republiki Ludowo-Demokratycznej) przywódca zachodniego świata przedstawiony został jako potencjalny przyjaciel reżimu. Wprawdzie w oczach (i obiektywach) północnokoreańskich mediów to Kim Dzong Un był liderem spotkania i nie tyle został przeciągnięty przez Trumpa na południową stronę półwyspu, co sam „przeszedł odważnie na stronę wroga", nie puszczając ręki amerykańskiego prezydenta, jednak bezspornym faktem jest, że wnuk z dynastii Kimów czuje respekt i sympatię do Donalda Trumpa. Tę prezydent USA z pewnością wykorzysta, kiedy na serio siądzie do stołu negocjacyjnego w sprawie zakończenia ukraińskiej wojny – w końcu spośród wszystkich sojuszników Rosji tylko Pjongjang zgodził się udzielić realnej militarnej pomocy Moskwie.

Zresztą grę o Ukrainę Trump faktycznie już z Putinem zaczął. To zresztą – zdaniem analityków – stąd zaskakujące słowa oskarżające administrację Joe Bidena o sprowokowanie rosyjskiego ataku poprzez deklaracje, że NATO zostanie w przyszłości rozszerzone o Ukrainę właśnie.

– Cóż, jeśli Rosja ma kogoś tuż u swoich progów, rozumiem ich uczucia na ten temat – powiedział prezydent elekt na jednej z niedawnych konferencji prasowych. Nie oznacza to jednak, że podczas

eprasa.pl d90fd1bdd3

negocjacji w sprawie zakończenia wojny będzie trzymał stronę Rosji, to tylko gest mający pokazać Trumpa jako pełnego empatii partnera w rozmowach. Gest doskonale znany ze spotkań negocjacyjnych na Wall Street czy w londyńskim City.

To tylko słowa

W tym konflikcie najbardziej liczy się dla niego interes Stanów Zjednoczonych, jednak – jak to w podejściu biznesowym – musi to być interes mierzalny w dolarach. Trump za wszelką cenę musi osłabić pozycję Chin wyrastających na drugiego światowego lidera w biznesie, polityce i wojskowości. Zapowiadane wprowadzenie nowych taryf celnych ma osłabić eksport Pekinu do USA, co z jednej strony będzie wsparciem dla amerykańskich producentów przegrywających konkurencję z tańszymi chińskimi odpowiednikami, z drugiej – wpłynie na spowolnienie chińskich inwestycji zagranicznych przede wszystkim w Afryce, której kraje mają ambicje uzyskania w tej dekadzie statusu państw rozwiniętych. Osłabienie Chin to dla Trumpa także kwestia polityki międzynarodowej i wojskowości. Z perspektywy interesów i pozycji USA armia chińska nie może w żaden sposób stać się drugim po Ameryce korpusem ekspedycyjnym rozwiązującym lokalne i regionalne konflikty, a o takich ambicjach od lat coraz głośniej mówi Pekin.

Niedawna groźba Donalda Trumpa rzucona w stronę Grenlandii i Kanady – o przyłączeniu obu krajów do USA (przy czym należącą do Danii wyspę miałby zająć zbrojnie, Kanada zaś stać miałaby się 51. stanem USA) – jest wyłącznie figurą retoryczną. Konstytucja USA zabrania takich jednoosobowych decyzji, nawet jeżeli chciałby je podejmować prezydent kraju. W strategii obronnej USA pojęcie wojny prewencyjnej istnieje tylko w przypadku podejrzenia przeprowadzenia na USA ataku jądrowego, bo – zgodnie z doktryną „use it or loose it" (użyj albo strać) warunkuje wykorzystanie broni, zanim zostanie zniszczona w wykrytym lub tylko podejrzewanym ataku. Ameryka atakowała tylko wtedy, kiedy zagrożone były interesy USA lub kiedy były zagrożone jej interesy – choćby tylko zamachami terrorystycznymi.

GRENLANDIA JEST WYSPĄ OD DAWNA MAJĄCĄ KLUCZOWE ZNACZENIE W ENERGETYCE, OBRONNOŚCI I NOWYCH TECHNOLOGIACH.

Grenlandia jest wyspą od dawna mającą kluczowe znaczenie w energetyce, obronności i nowych technologiach. Na wyspie oprócz bogatych złóż ropy naftowej i gazu występuje 25 z 34 światowych surowców krytycznych, minerałów i metali, poszukiwanych zarówno przez UE, jak i USA. Wśród nich są takie pierwiastki jak neodym i dysproz. Surowce krytyczne to takie, które mają szczególne znaczenie m.in. w sektorze energii odnawialnej (ogniwa bateryjne do samochodów, silniki do wiatraków), kosmicznego, cyfryzacji oraz obronności. Złoża metali rzadkich na Grenlandii szacowane są na rekordowe na półkuli północnej 38,4 mln ton, a obecnie monopol na wydobycie wielu z nich mają Chiny. Obszar wyspy, pokryty dotychczas lodem, na skutek zmian klimatycznych staje się coraz bardziej dostępny dla przemysłu wydobywczego, więc coraz częściej i chętniej patrzą w tym kierunku także Rosjanie. Stąd słowa Trumpa będące nie tyle chęcią zajęcia terytorium wolnego kraju, co sygnałem wysłanym Moskwie o determinacji, jaką są gotowi pokazać Amerykanie w nieoddawaniu tej wyspy komuś spoza NATO.

NIEDAWNA GROŹBA DONALDA TRUMPA RZUCONA W STRONĘ GRENLANDII I KANADY – O PRZYŁĄCZENIU OBU KRAJÓW DO USA JEST WYŁĄCZNIE FIGURĄ RETORYCZNĄ.

Wojny handlowe Ameryki

Kanada to przypadek, w którym Trump pokazuje determinację w kwestii polityki migracyjnej i handlowej. Przez granicę z Ka-

eprasa.pl d90fd1bdd3

nadą dostają się do USA wszyscy migranci z Ameryki Łacińskiej, którym nie udało się przedostać przez granicę z Meksykiem lub morzem z Zatoki Meksykańskiej. Do Kanady trafia również lwia część towarów przeznaczonych do sprzedaży w USA z Chin i Europy. Umowa handlowa między Kanadą a Stanami Zjednoczonymi jest dla obu zamorskich producentów wrotami na amerykańskie rynki. Trump proponował Kanadzie wprowadzenie podobnych do planowanych przez USA taryf celnych dla UE i Chin, ale na razie Kanada jedynie zapowiedziała wprowadzenia wyższych ceł wyłącznie na chińskie samochody. Wypowiadane przez Republikanów sugestie o konieczności radykalnej zmiany m.in. kanadyjskiej polityki migracyjnej rząd Justina Trudeau, odchodzącego premiera tego kraju, delikatnie mówiąc, lekceważył.

Powrót Donalda Trumpa na stanowisko prezydenta Stanów Zjednoczonych stwarza duże wyzwanie również dla polityki handlowej Unii Europejskiej. Jego zapowiedzi podniesienia ceł na import towarów z UE to deklaracja potencjalnej wojny handlowej między Brukselą i Waszyngtonem. Przy czym potencjał gospodarczy Ameryki w porównaniu z UE wskazuje, że będzie to wojna, której Unia raczej nie wygra.

Ta deklaracja także jest niczym więcej niż zaproszeniem unijnych polityków do stołu negocjacyjnego, ponieważ już kilkukrotnie Trump zaznaczał, że kwestię ceł odpuści pod warunkiem zwiększonych zakupów przez europejskie państwa amerykańskiej ropy i gazu. Jeśli kraje Starego Świata dalej będą oglądać się na Rosję i Bliski Wschód, to europejski eksport mocno na tym ucierpi. A trzeba pamiętać, że w 2023 roku państwa UE wyeksportowały do USA towary o wartości 502 mld euro, a import towarów z USA do UE osiągnął wartość 344 mld euro. W rezultacie unijna „27" odnotowała nadwyżkę handlową z USA na poziomie 158 mld euro, co postawiło Waszyngton na pierwszym miejscu listy partnerów handlowych krajów Unii.

DRUGA PREZYDENTURA TRUMPA BEZSPORNIE WPŁYNIE NA TO, W JAKIM ŚWIECIE BĘDĄ ŻYĆ NIE TYLKO AMERYKANIE, ALE TAKŻE MIESZKAŃCY EUROPY.

Analitycy w Brukseli i Londynie uprzedzają Komisję Europejską, że w grze Donalda Trumpa cła odwetowe mogą zaostrzyć napięcia, otwarta kapitulacja stworzy zaś niebezpieczny precedens, który nowy amerykański prezydent wykorzysta wielokrotnie.

NATO do poprawki

Trump zapowiada również zmianę zasad obowiązujących w NATO. Oczywiście Stany Zjednoczone Sojuszu nie opuszczą, ale z pewnością będą wymagały większych nakładów na zbrojenia od członków do tej pory korzystających z amerykańskiego parasola bezpieczeństwa. W sierpniu ubiegłego roku mówił na konferencjach, że dotychczasowe 2 proc. PKB wydatków na bezpieczeństwo, jakie płaciły kraje europejskie, były „kradzieżą stulecia". Wtedy domagał się, żeby każdy członek NATO wydawał na zbrojenia i wojsko co najmniej 3 proc. Dzisiaj domaga się już 5 proc. choć unijni politycy głośno się pomysłowi Trumpa sprzeciwiają, podobnie sprzeciwiali się poprzedniej podwyżce wydatków. W związku z zagrożeniem ze strony Rosji, Chin i Korei Północnej oraz wciąż trwającej wojnie na Bliskim Wschodzie będą musieli ustąpić.

STANY ZJEDNOCZONE NIE OPUSZCZĄ NATO, ALE Z PEWNOŚCIĄ BĘDĄ WYMAGAŁY WIĘKSZYCH NAKŁADÓW NA ZBROJENIA.

Druga prezydentura Trumpa bezspornie wpłynie na to, w jakim świecie będą żyć nie tylko Amerykanie, ale także mieszkańcy Europy. To, czy politycy w Brukseli umiejętnie wykorzystają narzędzia używane przez prezydenta USA, a przeniesione wprost ze świata biznesu, będzie decydowało o przyszłym kształcie Unii, a być może o jej istnieniu w ogóle.

eprasa.pl d90fd1bdd3

Z pamiętnika robotnika

Krzysztof „FtW” Kwaśnica

O „gaceniu” i maoizmie elektrycznym

Kominiarz zadzwonił dwa razy, znamy się od lat. Wymieniliśmy uprzejmości, bo dobrze tak zrobić na początku spotkania, potem przeszliśmy do konkretów, czyli drożności przewodów kominowych, szczelności instalacji odprowadzającej spaliny, a także gazowej. Potem ja podzieliłem się swoimi wątpliwościami co do dalszych możliwości ogrzewania gazem, wszak decydenci twierdzą, że to strasznie szkodliwe i będzie zabronione, a przecież jeszcze za ciemnej komuny, gdy moi rodzice chcieli założyć sobie takowe, to musieli wpłacić na rozwój gazownictwa, no to ja jednak chciałbym sobie pokorzystać z tego rozwoju. Kominiarz mnie jednak uspokoił, że oczywiście nadal mogę, jeżeli mnie tylko na to stać. No cóż… z tym staniem, to ja trochę leżę.

Gdy jeden będzie wybierał spośród dwudziestu swoich samochodów, ja mam pedałować dla dobra planety.

Jeszcze zdążyłem się podzielić refleksją, że ja nie widzę jakiegoś jasnego wytyczonego kierunku w temacie ciepłownictwa i że ta cała demokracja jest jakaś dziwna, bo niby jest, a jak przychodzi co do czego, to nikt mnie o nic nie pyta, tylko decyduje. Ale pan od świętego Floriana wykazał pewne zniecierpliwienie, bo okazało się, że to nie koniec jego wizyty i musi zadać jeszcze parę pytań, a nie zastanawiać się, czy jeżeli coś istnieje w sensie werbalnym, to od razu pociąga za sobą rzeczywisty byt.

Przeszedł do problemu okien i stanu ich posiadania. Otóż nie ukrywałem swojego bogactwa i poinformowałem go, że takowe posiadam, kiedyś w moim domu były solidne, drewniane, o niezaprzeczalnej estetyce, lecz posiadały jeden mankament, strasznie przez nie wiał wiatr, co może zapewniało zdrową cyrkulację powietrza, ale jednak w zimie było trochę chłodno i groziło oszronieniem wnętrza domostwa, co stanowiłoby jednię estetyczną z zewnętrzem, acz mieszkańcom nie sprzyjało, toteż nastąpiła wymiana, na plastikowe. Otóż zabieg ten w ankiecie kominiarskiej był oceniony pozytywnie i dawał mi dodatkowe punkty w drodze do ekologicznego raju.

Dalej przeszliśmy do kwestii docieplenia budynku, żeby nie było, że ja taki nieświadomy jestem, zdaję sobie sprawę z faktu, że w naszej szerokości geograficznej tradycja „ogacania” budynku istnieje już od wczesnego średniowiecza, używano wtedy liści, słomy. Nikt wówczas nie myślał o stosowaniu styropianu czy też wełny mineralnej, ponieważ najbliższy supermarket budowlany znajdował się w sporej odległości czasowej, toteż zabrakło śmiałków, aby wybrać się w tak daleką podróż.

Ale wracając do sprawy, moje wełniane „ogacenie” chałupy okazało się zadawalające, acz mogłoby być nieco grubsze. I tu, nie wiadomo skąd i po co, przypałętała się refleksja: przecież nie każdego stać na takie docieplenie. Dowiedziałem się, że przecież istnieją korzystne kredyty. No, może one i są korzystne, ale moja wrodzona podejrzliwość każe mi przypuszczać, że przede wszystkim one muszą być korzystne dla banków, które to nie są organizacjami charytatywnymi, tylko nastawionymi na zysk. Na dodatek, jeżeli chodzi o pożyczanie pieniędzy, to rodzi się we mnie takie niejasne poczucie oddawania się w jakąś niewolę. Pan kominiarz na koniec powiedział, że były propozycje, by ankieta była bardziej rozszerzona, na przykład o pytanie: „Ile osób mieszka w domu?”.

Demokracja jest jakaś dziwna, bo niby jest, a jak przychodzi co do czego, to nikt mnie o nic nie pyta, tylko decyduje.

Po wszystkim naszło mnie jakieś takie dziwne poczucie bycia inwigilowanym, i że ktoś chce się mną zaopiekować tak bardzo, że wszystkiego może się odechcieć. Za chwilę przyszła kolejna refleksja, jestem posiadaczem starego, dwudziestopięcioletniego samochodu. Nie, nie jestem kolekcjonerem old timerów,

eprasa.pl d90fd1bdd3

może i bym sprawił sobie nowszy, ale możliwości są takie, jakie są, to też lubię ten, kupiony legalnie, z opłaconym OC. No, tylko jest jeden mankament, jego przemieszczanie się w przestrzeni jest uzależnione od spalania oleju napędowego, a ten jest zły, a wręcz niedobry, natomiast prezydent mego miasta ma zbawienny ekologicznie plan, aby zabronić mi wjazdu do centrum moim wehikułem i ratować planetę.

Rozwiązaniem mają być samochody elektryczne, ale jednym z problemów związanym z tym środkiem transportu jest jego cena, oczywiście przewidziane jest dofinansowanie zakupu tego środka lokomocji, ale i tak jest to rozwiązanie dla bogatych. Oczywiście nie zapomniano także o osobach niezamożnych, dla nich jest proponowana dopłata do rowerów elektrycznych. I jakoś przypomniały mi się zdjęcia z Chin robione w latach pięćdziesiątych, gdzie tłumy Azjatów dzielnie pedałowały na rowerkach i narodziła się jakaś niezdrowa myśl, że zapanuje jakiś elektryczny maoizm.

Jeżeli chodzi o pożyczanie pieniędzy, to rodzi się we mnie takie niejasne poczucie oddawania się w jakąś niewolę.

Czytałem ostatnio „W niepewnym boju" Johna Steinbecka, tam nawet zbieracze owoców, będący bez stałego zatrudnienia, posiadali swoje ciężarówki. Wychodzi na to, że cała rewolucja Forda musi się zwijać.

A na koniec niezastąpiony „Folwark zwierzęcy" George'a Orwella: „Wszystkie zwierzęta są równe, ale niektóre zwierzęta są równiejsze od innych". Gdy jeden będzie wybierał spośród dwudziestu swoich samochodów, ja mam pedałować dla dobra planety.

eprasa.pl d90fd1bdd3

KULTURA

Czytaj też:

Światowy sukces i rodzima nienawiść 50

Nie boję się WYZWAŃ

Fot. materiały prasowe

eprasa.pl d90fd1bdd3

Kinga Talarek, wokalistka zainspirowana **amerykańską popkulturą**, powraca z nowym utworem zatytułowanym „Light&Free". Piosenka powstała we współpracy z producentem muzycznym Bartkiem Rzepką, z którym Kinga stworzyła linię melodyczną wokalu i tekst.

– Stawiam na pop. Lubię go i mam do niego duży sentyment. Dlatego obrałam taki kierunek. Czuję się w tym dobrze i mój głos dobrze brzmi w tej stylistyce – mówi **Kinga Talarek**, wokalistka, w rozmowie z **Bartoszem Boruciakiem**.

– Jakie talary przynosisz na polski rynek muzyczny?

– Jestem ogromną pasjonatką muzyki zagranicznej.

– Dlaczego nie polskiej?

– Zawsze słuchałam zagranicznej muzyki. Jeśli chodzi o muzykę pop, to wszystko zaczęło się w dzieciństwie.

– Seriale muzyczne dla dzieci?

– Zgadza się. Można je było oglądać na Disney Channel. Mam na myśli „Camp Rock" czy „Hannah Montana". Bardzo mnie wciągnęły te seriale, chciałam śpiewać tak jak ich bohaterowie. Po tym zapisałam się na lekcje śpiewu i ta pasja ze mną została aż do teraz.

– Miley Cyrus czy Jonas Brothers inspirują Cię do dziś?

– Raczej inspirowali mnie, kiedy byłam dzieckiem. Chociaż wciąż mam sentyment do tych wykonawców. Czasami do nich wracam.

INSPIRUJĘ SIĘ KAWAŁKAMI ARIANY GRANDE.

– Czy masz coś, czego nie mają inne piosenkarki?

– Mam pomysł na muzykę. Zależy mi na eksperymentowaniu i próbowaniu różnych rzeczy. Przede wszystkim stawiam na pop. Lubię go i mam do niego duży sentyment. Dlatego obrałam taki kierunek. Czuję się w tym dobrze i mój głos dobrze brzmi w tej stylistyce.

– Jak definiujesz muzykę pop?

– Pop ma wiele odmian. Mogą się w nim znaleźć elementy muzyki elektronicznej i trapu. Inspiruję się kawałkami Ariany Grande. Moje ostatnie utwory to zdecydowanie dance pop, który charakteryzuje się prostym, chwytliwym tekstem i jest przeznaczony do tańczenia. Na tym się skupiam, jednak to nie jest estetyka, w której chciałbym się zamknąć. Chciałabym spróbować różnych rzeczy, np. house'u. Mam już nagrany utwór w stylu R&B. Nagrałam go we współpracy z zagranicznym producentem, wkrótce ujrzy światło dzienne.

PATRZĄC NA WYNIKI BADAŃ SOCJOLOGICZNYCH, SŁOWO „INFLUENCER" KOJARZY SIĘ LUDZIOM BARDZO NEGATYWNIE.

– Wrzucamy kamyki do ogródka. R&B na polskim rynku muzycznym bardzo

eprasa.pl d90fd1bdd3

słabo się przyjmuje. Nie obawiasz się tego?
– Po pierwsze nie mam zamiaru przekonywać słuchaczy do tej estetyki muzycznej. To jest mój eksperyment. Chciałam się w tym sprawdzić i ocenić, czy przypadnie mi do gustu.

ZALEŻY MI NA EKSPERYMENTOWANIU I PRÓBOWANIU RÓŻNYCH RZECZY.

Na ten moment uważam, że jest to najlepszy kawałek – jeśli chodzi o wokal – jaki do tej pory nagrałam.

– Od kiedy zaczęłaś śpiewać?
– Zaczęłam śpiewać w wieku 9–10 lat.

– W jakim miejscu stawiałaś swoje pierwsze kroki w muzyce?
– W domu, w szkole, na zajęciach wokalnych. Później zapisałam się do szkoły muzycznej i chodziłam do klasy śpiewu przez kilka lat. Śpiewałam w Garwolinie w Miejskim Ośrodku Kultury. Jeździłam po różnych szkołach z występami. To była niesamowita przygoda.

– Jakie są charakterystyczne cechy Kingi Talarek jako marki osobistej?
– Cały czas szukam swojego stylu. Na pewno będę nagrywała szybkie i energetyczne utwory. Będzie w nich dużo radości. Chcę, żeby przy mojej muzyce ludzie dobrze się bawili. Muzyka jest moją pasją. Nie chcę się zamykać w jednej muzycznej szufladce.

– Może zaczniesz rapować?
– Możliwe. Nie zamykam się na współpracę z przedstawicielami rapowej sceny. Są interesujący raperzy w Polsce.

– Z którym raperem chciałabyś nagrać kawałek?
– Na przykład z Zeusem. Jego utwór „Hipotermia" jest świetny. Bardzo lubię jego twórczość.

– Jak rozumiesz słowo „eksperyment", bo ono wiele razy pada w naszej rozmowie?
– Rozumiem to jako szukanie własnego brzmienia. Nie jestem profesjonalnym muzykiem. To jest moja pasja. Cieszę się z tego, że jeszcze nie wiem, jak potoczy się moja muzyczna kariera. Są ludzie zainteresowani moją muzyką.

– Kim są ludzie zainteresowani Twoją twórczością?
– Są to młodzi ludzie, myślę, że nastolatkowie w wieku 15–18 lat. Słuchają mnie też moi rówieśnicy i czterdziestolatkowie. Jeżeli chodzi o płeć, to rozkłada się to równomiernie. Moje utwory są słuchane zarówno w Polsce, jak i poza nią. Byłam zaskoczona, kiedy dowiedziałam się, że moja piosenka pojawiła się w afrykańskim radiu.

NIECH POPULARNOŚĆ BĘDZIE KONSEKWENCJĄ MOJEJ CIĘŻKIEJ PRACY.

– Jak tamtejsi radiowcy Cię znaleźli?
– Jest muzyczna platforma SubmitHub, gdzie można umieszczać swoją twórczość. Tam artyści dzielą się swoją muzyką i oceniają kawałki innych kolegów i koleżanek po fachu. W ten sposób można znaleźć nowe kontakty i tak właśnie nawiązałam relację z osobą z afrykańskiego radia. Wysłałam im moją piosenkę, powiedzieli, że jest świetna, i wyemitowali ją.

– Plan na przyszłość Kingi Talarek to...?
– Zobaczymy. Muzyka wypływa ze mnie naturalnie. Miałam od niejbardzo długą przerwę. Po szkole muzycznej zajęłam się edukacją. Poszłam na studia, które nie mają związku z muzyką.

– Co studiowałaś?
– Psychologię. Po studiach uznałam, że bardzo brakuje muzyki w moim życiu. Pamiętam, jak włączyłam swoje stare nagrania na YouTubie. Zobaczyłam i usłyszałam, jak głos mi się zmienił. Zrobiłam bardzo duży progres, jeżeli chodzi o warstwę wokalną. Uznałam, że muszę coś z tym zrobić. Dowiedziałam się, że moi znajomi nagrywają muzykę. Napisałam do jednego z nich i w ten sposób poznałam Koshego, który jest producentem muzycznym.

– Opowiedz, proszę, o Waszej współpracy.
– Napisałam do niego na Facebooku. Potem przyjechałam do jego studia w Warszawie. Zaproponował mi nagranie coveru utworu „Shooting Stars" zespołu Bag Raiders. Jest to bardzo popularna piosenka.

eprasa.pl d90fd1bdd3

Koshe wpadł na pomysł, żeby zrobić aranżację w stylu electro.

– Skończyło się na jednym utworze?

– Nie. Do dziś mamy kontakt. Planujemy nagrać różnorodne utwory, eksplorując różne muzyczne stylistyki. Po „Shooting Stars" nagraliśmy naszą wersję „Last Christmas", która miała bardzo pozytywny odbiór. Zrealizowaliśmy do tego teledysk, samo nagranie zajęło nam cztery godziny.

– Z kimś jeszcze działasz poza Koshem?

– Szukałam na Instagramie różnych osób związanych z muzyką. Uważam, że Instagram jest dobrym narzędziem, żeby nawiązywać muzyczne relacje. W trakcie moich poszukiwań znalazłam Bartka Rzepkę, który produkuje muzykę i jest muzykiem. Podjęliśmy współpracę i jej owocem jest utwór „Unstoppable".

– Koshe dał Ci kiedykolwiek muzycznego kosza?

– Jeszcze nie [śmiech]. Koshe jest bardzo dobrym człowiekiem.

– A Rzepka się do Ciebie przykleił na dobre?

– Myślę, że to będzie dłuższa współpraca. Polecam pracę z Bartkiem. Ma bardzo profesjonalne podejście. Potrafi w bardzo dobry sposób przygotować mnie wokalnie do nagrywania piosenek. Tworzy, produkuje i śpiewa – człowiek orkiestra.

– Czas przejść do najnowszego singla „Light&Free".

– Piosenkę stworzyliśmy z Bartkiem Rzepką. Pracowaliśmy nad nią kilka miesięcy. Na początku kompozycja brzmiała zupełnie inaczej, była bardzo mroczna. Chciałam mieć jaśniejsze brzmienie i finalnie udało się to zrobić. Zależało mi na chwytliwym refrenie, który nakłoni słuchaczy do tańca.

MÓJ UTWÓR ZAGRANO W AFRYKAŃSKIM RADIU.

– Czyli czekasz na zaproszenie do „Tańca z Gwiazdami"?

– Nie boję się wyzwań.

– A jakie teraz stawiasz przed sobą?

– Moim celem jest to, żeby ludzie cieszyli się moją muzyką. Nie dążę do tego, żeby być bardzo znaną osobą. Niech popularność będzie konsekwencją mojej ciężkiej pracy.

– Masz jakiś patent na to, żeby docierać do jak największej liczby osób?

– Na początku uznałam, że moja muzyka się nie wybije. Robiłam ją tylko dlatego, że to lubiłam. Ogromnie zaskoczyło mnie to, gdy zobaczyłam, jakie dobre mam statystyki. Wtedy zaczęłam bardziej w siebie wierzyć, a przez to mam więcej radości w życiu. Co z tego będzie? Pożyjemy, zobaczymy.

– Nie chcesz wejść w świat influencerów?

– To jest ciekawa droga. Jednak patrząc na wyniki badań socjologicznych, słowo „influencer" kojarzy się ludziom bardzo negatywnie. Przez to odbiera się kompetencje takim twórcom, a bardzo często są inteligentnymi osobami.

– Z kim – prócz Zeusa – chciałabyś nagrać piosenkę?

– Z Darią Zawiałow, a spoza Polski z: Duą Lipą, Sabriną Carpenter, Avą Max. Moje serce skradła też Ariana Grande. Jestem jej wielką fanką. Jest mistrzem wokalnym. Moim zdaniem jest najlepszą piosenkarką na świecie. Byłam na jej koncercie w Pradze.

– Jakie miałaś wrażenia po tym koncercie?

– Świetne! Cudem udało mi się zdobyć bilety. A przy okazji mogłam poznać jej mamę. Zrobiłam sobie z nią zdjęcie. Superkobieta!

– Kiedy płyta?

– Na razie nie mam jej jeszcze w planach. Teraz chcę się skupić na wydawaniu singli.

NIE ZAMYKAM SIĘ NA WSPÓŁPRACĘ Z PRZEDSTAWICIELAMI RAPOWEJ SCENY. SĄ INTERESUJĄCY RAPERZY W POLSCE.

eprasa.pl d90fd1bdd3

Czytam, chadzam, doradzam, odradzam

Wojciech Stanisławski

„Gry barwne”

Nie tak łatwo o okazję, by spojrzeć na prace kapistów tak, jakby ktoś zgromadził po stu latach bodaj część tej grupy pod jednym dachem, w jednym pokoju.

Jeśli ktoś interesuje się choć trochę malarstwem polskim, termin „kapiści” nie jest mu obcy: grupa przyjaciół, studentów krakowskiej ASP, którzy w 1923 roku zawiązali na poły żartem „Komitet Paryski” (K.P.), by zgromadzić środki na podróż śladami mistrzów do Francji, zapisała się trwale w dziejach sztuki. Ilekroć jednak trafię na tę nazwę, zastanawiam się: ile ze sławy i rozpoznawalności spłynęło na kapistów za sprawą tego, który najpóźniej doczekał się uznania jako malarz, wsławiwszy się przedtem jako eseista, filozof, entuzjasta „jagiellońskiej” Rzeczpospolitej wielu narodów, oficer i świadek Katynia, czyli Józefa Czapskiego?

Jeśli tak się rzeczywiście stało, to niesprawiedliwie, bo wnieśli do polskiej sztuki dużo: nie byli pierwszymi, którzy zbuntowali się przeciw podniosłym wątkom umieszczanym na płótnach, którym marzyło się: „A wiosną – niechaj wiosnę, nie Polskę zobaczę”, by skupić się na kwestiach czysto malarskich. Ten zwrot dokonywał się przecież w malarstwie europejskim od połowy XIX wieku, nad Wisłą też paliły się doń, szczególnie po roku 1918, kolejne awangardy. Kapiści byli jednak skromni i wytrwali. Uprawiali swoje „gry barwne” (wprowadził ten termin właśnie Czapski, przez paryskie lata będący kimś w rodzaju rzecznika czy twórcy programu grupy) i po wojnie kształtowali kolejne roczniki artystów.

Obrazy tych najbardziej znanych – Jana Cybisa, Hanny Rudzkiej-Cybisowej, Artura Nacht-Samborskiego, Zygmunta Waliszewskiego – znajdują się w licznych muzeach i kolekcjach: duża galeria Cybisa znajduje się w Opolu, Muzeum Narodowe w Krakowie stworzyło Pawilon Józefa Czapskiego. Ale wcale nie tak łatwo o okazję, by spojrzeć na ich prace tak, jakby ktoś zgromadził po stu latach bodaj część tej grupy pod jednym dachem, w jednym pokoju. Taką możliwość stwarza prezentacja obrazów siedmiorga z nich, należących do kolekcji Krzysztofa Musiała. Niespełna trzydzieści płócien, dwa gwasze, jakieś szkice – i „lekcja kapizmu” w pigułce.

Duch Czapskiego i na tej wystawie daje o sobie znać – zaraz przy wejściu wisi jego autoportret z lat 70., raz i drugi, jeszcze w podziemiu, umieszczany na okładce jego książek i przez to trochę opatrzony. Ale ile więcej jest tu obrazów znanych dotąd tylko z albumowych reprodukcji – i zapierających dech. Również Czapskiego: „W barze” z roku 1974 z uderzającym kontrastem zdecydowanej, chociaż lekko rozbielonej żółci abażuru i fioletu fotela (a jeszcze zwrócona w naszą stronę twarz jednego z mężczyzn, zabarwiona przez półcienie tych mebli!) jest dowodem na to, że artysta z biegiem lat malował coraz

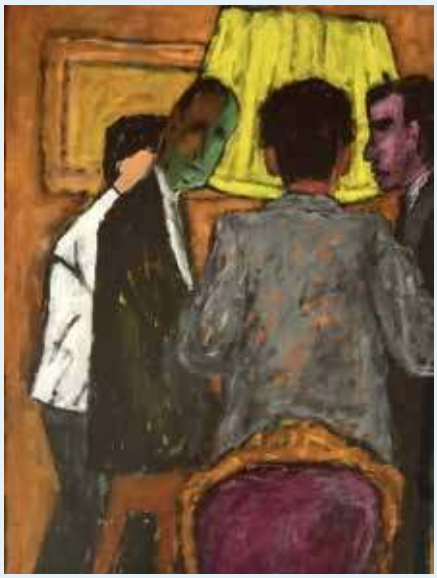

Józef Czapski, „W barze”, 1974

Artur Nacht-Samborski, „Bażant w pomarańczowe centki”, b.d.

eprasa.pl d90fd1bdd3

odważniej, nieprzerwanie patrzył, co potrafi stać się z barwą.

Nie on jeden. Wiadomo, że drugi termin, którym w historii sztuki określano tę grupę, wychodząc od kierunku jej poszukiwań, to „koloryści". I tak naprawdę można by iść tym tropem, w dwóch małych salkach Galerii aTAK szukając tylko tego: nowego koloru, jego zderzeń z tłem, małych, musujących eksplozji – zawsze przemyślanych, zgodnych z tym, co wiedzieli o widmie światła, o tym, że (znów Czapski): „Płaszczyzna gładka w zestawieniu z jaśniejszą plamą ciemnieje, przy ciemnej jaśnieje, płaszczyzna szara w zestawieniu z czerwoną zielenieje".

Odwagą koloru wygrywa Nacht--Samborski, swym zatytułowanym jeszcze zgodnie z przedwojenną ortografią portretem bażanta, gdzie mienią się i jasny oranż, i szkarłat, i niesłychanie jasny błękit, i ochry – a wszystkie oddziałujące na siebie wzajemnie, jakby rezonowały kamertony. Tuż za nim Czapski, za sprawą sceny barowej, ale i „Autoportretu...", gdzie – nie było tego widać w podziemnych wydaniach – trzonki pędzli żarzą się jak rozpalone pogrzebacze albo pałeczki fluorescencyjne. Trzeci Waliszewski, z barwami tak lekkimi, że w pierwszej chwili wydają się, horribile dictu, kładzione flamastrem. Ale i u tych, którzy świadomie wybierali paletę węższą, skupioną – u Cybisa, i Piotra Potworowskiego – widać wielką pracę, zmaganie się wręcz z kolorem i światłem.

„Kapiści. Radość i udręka kolorów", 5 grudnia 2024 – 15 lutego 2025 r. Galeria aTAK, Warszawa, ul. Mazowiecka 11, kurator Jerzy Wojciechowski.

Żywy dotyk

Jak opowiadać o Solidarności sprzed roku 1989? Niby w dwa prawie pokolenia potem mamy tych opowieści wiele: tysiące książek, przedstawienia, pomniki, portale, sztafety i komiksy. I bardzo dobrze, tamta odwaga, rozpacz i gniew powinny być zapamiętane.

A zarazem, patrząc z podwójnej perspektywy – nastoletniego świadka tamtego czasu, ale i historyka – widzę, jak ta opowieść nieuchronnie krzepnie i cukruje się w oczach „młodych", niczym nie różniąc się od historii innych, dawno minionych epok. Powstanie, zamach majowy, wojna, Solidarność: amatorzy i badacze znają każdy wers meldunku czy grypsu, reszta zadowala się tuzinem nazwisk, trzema datami i garścią skojarzeń: koksowniki, ulotki, skandowane: „Lis – Michnik – Frasyniuk".

Bardzo rzadko udaje się w opowiadaniu przeszłości przerwać tę grubą korę, tę, mówiąc mickiewiczowsko, lawę, żeby dotrzeć do żywego doświadczenia: bolesnego, czasem krwawego, czasem nieodparcie śmiesznego. I właśnie udało się to – w drugim, poświęconym epoce stanu wojennego, tomie „Alfabetu Solidarności".

Pięcioro autorów, pięć obszarów rzeczywistości: podziemna i nadziemna polityka, działalność Kościoła, popkultura i „obrazki uliczne", życie codzienne, literatura i idee. I pięć bardzo różnych narracji, tak różnych, że najdalej od drugiej noty nie musimy już patrzeć na umieszczone pod nią nazwisko, by wiedzieć, kto ją napisał.

Mnie (pochlebiam sobie, że to przez podobieństwo temperamentów) najbardziej odpowiada styl Andrzeja Horubały: to pisanie cierpkie, zadziorne, nastawione na tropienie prawd niewygodnych, nieukrywanie konfliktów, wyśmiewanie patosu i obłudy. Ale przecież z radością czytam też niesłychanie ciepłe

opisy życia towarzyskiego i rodzinnego Barbary Sułek-Kowalskiej, wdzięczny jestem za krótkie, jakby od niechcenia kreślone scenki pióra Piotra Semki, widzę skalę pracy badawczej, jaka stoi za solennymi fragmentami pozostałych autorów. Czas „konspiry" staje przed oczami – raz jeszcze.

Andrzej Horubała, Paweł Janowski, Piotr Semka, Barbara Sułek-Kowalska, Mateusz Wyrwich, „Alfabet Solidarności. Część druga: Konspira", Instytut Dziedzictwa Solidarności, Gdańsk 2024.

eprasa.pl d90fd1bdd3

Światowy sukces i rodzima nienawiść

Michela Houellebecqa łączy z Louisem-Ferdinandem Célinem abnegactwo, upodobanie do trwania na pozycjach literackiego pariasa. Od „kolegów po fachu" trzymają się z daleka. Bynajmniej nie dlatego, że bali się albo boją konfrontacji lub – co gorsza – ulegania wpływom. Swoje pozycje zdobywali w pojedynkę, idąc szlakiem **rozmyślnie osobniczym** w myśl Friedricha Nietzschego: „Wielkie umysły chodzą zamaskowane".

Marcin Darmas

Pod wieloma względami trzymanie się w zdrowej odległości od zgiełku salonów wydawniczych i medialnych jest przemyślaną strategią. Czego by nie mówić, francuski świat literacki jest wsobny, autoreferencyjny; co roku dowiadujemy się z zakulisowych doniesień o koteryjnych układach mających wyłonić laureata nagrody Goncourtów.

Céline o wierchuszce literackiej swoich czasów nie miał – delikatnie rzecz ujmując – zbyt pochlebnego zdania. O noblistach, François Mauriacu czy Romain Rollandzie, pisał w liście do Jeana Paulhana, że potrafią jedynie moralizować i bajdurzyć, podczas gdy „muzyki w nich za grosz". Odrazę do literatów Céline łączył z odrazą do epoki, w której przyszło mu żyć. Cywilizację Zachodu nazywał z pogardą „mierną kopią cywilizacji Greków". Z tą różnicą, że naszymi czasami zawładnęły dwa elementy nieznane Hellas: reklama i prędkość. Wszystko to w służbie skuteczności. Piosenki wypłukiwane są przez zawodzenia, zawodzenia przez markę, marka przez modę. Zasadę gonitwy efemerydy karmią zaś pieniądze i emocje. W radiowym wywiadzie Céline formułował marzenie, że kiedyś dożyje czasów, w których duch zbuntuje się przeciw ciężarowi rzeczy. Stało się inaczej. Czasy przyśpieszają, a na horyzoncie jakoś trudno dojrzeć tryumfującego ducha.

> CÉLINE O WIERCHUSZCE LITERACKIEJ SWOICH CZASÓW NIE MIAŁ – DELIKATNIE RZECZ UJMUJĄC – ZBYT POCHLEBNEGO ZDANIA.

Ostatnie przygody medialne Houellebecqa – eufemistycznie rzecz ujmując – nie napawają optymizmem. Zanim do nich dojdziemy, zaznaczyć należy, że autor „Cząstek elementarnych" czasy współczesne „czuje" niemal epidermicznie, naskórkowo, i obdarzony jest nadzwyczaj wrażliwym „uchem społecznym". Przypomnijmy, jego pierwsza powieść „Poszerzenie pola walki" antycypuje komercjalizację stosunków społecznych. W dowcipny sposób opisuje, jak więzi emocjonalne zastępowane są więziami intelektualnymi. Ludzie zbliżają się do siebie często na mocy numerycznych kryteriów. Mężczyznę pociągają rozmiary spódnic i staników, kobietę zaś – mówiąc oględnie – potencjał ekonomiczny przyszłego partnera. W powieści jest ujmująca scena, gdy bohater wstydzi się kupić łóżko, szerokość osiemdziesięciu centymetrów zdradziłaby bowiem sprzedawcy, że ma do czynienia z klientem samotnym, mniej lukratywnym z kupieckiego punktu widzenia. Jak pisze Houellebecq: „Na naszych oczach świat się uniformizuje, rozwijają się środki telekomunikacji, wnętrza mieszkań wypełniają się nowoczesnym sprzętem. Relacje międzyludzkie stopniowo stają się niemożliwe, co zresztą redukuje liczbę historii, z których składa się życie". I konkluduje na poły dowcipnie, a na poły serio, że „trzecie tysiąclecie zapowiada się świetnie".

eprasa.pl d90fd1bdd3

Fot. Michael Zapf / AKG Images / Forum

Na tej samej zasadzie „Cząstki elementarne” ukazują redukcję człowieka do jego kondycji biologicznej. Houellebecq jest zupełnym mistrzem w opisie degradacji ludzkiej godności. Racjonalna jednostka wyjęta z ram społeczeństwa tradycyjnego, opartego na ustalonych wartościach „pożąda” coraz więcej. Im większe są owe pragnienia, tym bardziej zmniejsza się jej godność. Stopniowo zaciera się różnica między społeczeństwem ludzkim a światem zwierząt, które są zupełnie zależne od swoich popędów. Zbieżność zaczyna dawać się obserwować na poziomie strukturalnym – w systemie zwierzęcym nieprzerwanie rządzi zasada dominacji i strachu. Okrutność bezdusznego systemu przeżywa w ciągu całego swojego życia Bruno z „Cząstek elementarnych”. Do okrucieństwa, braku moralności przyzwyczai go najpierw pensjonat, potem pierwsze zetknięcie ze skomercjalizowaną miłością wyrażoną w prawach rynku. Podobnie z Tisserandem z „Poszerzenia pola walki” – trudno go odróżnić od zwierzęcia. Sam zresztą powie: „Mam wrażenie, że jestem zwiniętym w celofan udkiem kurczaka na półce w supermarkecie”. Kilka stron dalej: „Mam wrażenie, że jestem żabą w słoiku”.

Houellebecq jest najbardziej poczytnym pisarzem francuskim. Dziwi zatem fakt, że jego światowy sukces nie przekłada się na rodzime uznanie. Z wściekłością godną lepszej sprawy atakują go zarówno francuscy dziennikarze, jak Laurent Joffrin czy Edwy Plenel, oraz i intelektualiści: Éric Naulleau czy Pierre Assouline. Powody pogardy francuskiego „pola kulturalnego” dla Houellebecqa są dość symptomatyczne. Z jednej strony tłumaczyć ją należy globalnym sukcesem pisarza „bez stylu”. Pisarz świadomie, jak sam przyznaje, używa w swoich dziełach medycznej frazeologii. Jego powieści posiadają atrybuty wyzute z literackiej biżuterii i efekciarstwa. Pod tym względem Houellebecq powołuje się na wciąż żywy i wpływowy autorytet pozytywisty, Auguste’a Comte’a. Styl zbyt wyrafinowany, uważa Houellebecq – piewca comte’owskiej metody, przypomina szczelną skorupę, która mogłaby przykryć jądro przekazu. Zatem ażeby zapobiec mylnym interpretacjom, czytelnik musi być prowadzony z poddańczą dyscypliną po torze, który wyznacza mu pisarz.

Po drugie, Houellebecq nie chce oddzielać swojej prozy od swojego życia. Niezależnie, jak nużące może się to wydawać, proza musi być wiernym odbiciem stanu pisarza. W przypadku autora „Platformy”, tym stanem jest chroniczna depresja. ›

eprasa.pl d90fd1bdd3

W kontekście Houellebecqa mowa nawet o zainicjowanym trendzie literackim – deprymizmie (z francuskiego déprime, czyli depresja, nostalgia, chandra). Naulleau zarzuca pisarzowi rozmyślną taktykę marketingową. Francuskie społeczeństwo bowiem, będąc liderem w spożywaniu leków psychotropowych, potrzebuje literatury na swoje podobieństwo. Naulleau w eseju o wymownym tytule „Ratunku! Houellebecq powraca" pisze nawet o „depresyjnym kiczu", którym pisarz cynicznie uwodzi swoich czytelników.

Dotykamy tu zagadnienia najbardziej bolesnego dla „literackiego salonu" – schlebiania najniższym instynktom. Literatura Houellebecqa porusza się w obrębie tematów nośnych, pisarz korzysta ze swojego społecznego instynktu, „ucha socjologicznego". Pod tym względem autor „Możliwości wyspy" wyłamuje się salonowym konwenansom. Stał się głosem pauperyzującej się klasy średniej. Jego bohaterowie są informatykami pracującymi dla coraz bardziej spetryfikowanych urzędów („Poszerzenie pola walki"), są zblazowanymi naukowcami („Cząstki elementarne") albo zrozpaczonymi rolnikami („Serotonina"). Wyłania się z powieści Houellebecqa obraz warstwy coraz bardziej apatycznej, pogodzonej z postępującą degradacją. Figurą par excellence tej warstwy jest „człowiek hipermarketu". Chodząc między półkami sklepu, upodobnia się do zaprogramowanego na cel handlowy zombie.

Houellebecq jest również surowym krytykiem społecznych i filozoficznych efektów wydarzeń maja 1968 roku, owego obyczajowego rozluźnienia, którego skutki obserwujemy do dziś. Ataki Houellebecqa na emancypację, emigrację, antykoncepcję, wyzwolenie seksualne („Wyzwolenie seksualne zniszczyło ostatnie wspólnoty, które oddzielały jednostkę od rynku" – stwierdza pisarz na stronach „Cząstek elementarnych") rozsierdzają „salon literacki".

W opublikowanym dzienniku zatytułowanym „Kilka miesięcy w moim życiu" Michel Houellebecq pokazuje, w jaki sposób machina medialna stara się uciszyć krytyków doksy w takich kwestiach jak islamistyczne zagrożenie. Pisarz wydaje się przygnieciony anatemami środowiskowymi, pozwami, zarzutami o „mowę nienawiści". I tak Houellebecq rakiem wycofuje się z licznych wypowiedzi sprzed lat, tonuje je, a nawet odżegnuje się od nich. W rozmowie z Michelem Onfrayem na łamach „Frontu Ludowego", opublikowanej dwa lata temu, przepowiadał wojnę domową, przestrzegał przed zamachami, które nazwał „Bataclanem à rebours", jeśli nie zatrzyma się obecnej polityki migracyjnej Francji i nie zaprowadzi się porządku na przedmieściach dużych aglomeracji. Houellebecq ugina się. Widać, że się boi. W dzienniku stwierdza, że nie autoryzował rozmowy z Onfrayem. Dziś, jak wielokrotnie podkreśla, myśli i czuje inaczej, w sposób bardziej wyważony. Nie chce nikogo urazić. W dzienniku prostuje i wygładza zdania sprzed lat. Słowem, odnosi się wrażenie, że „salon medialno-literacki" złamał Houellebecqa. Pisarz w zeszłym roku przeprowadził ekspiacyjne tournée po telewizyjnych studiach, gdzie zmuszony był przepraszać za krytykę islamu, wpisując się w logikę „moralnego konformizmu" (Pierre Bourdieu).

HOUELLEBECQ JEST NAJBARDZIEJ POCZYTNYM PISARZEM FRANCUSKIM. DZIWI ZATEM FAKT, ŻE JEGO ŚWIATOWY SUKCES NIE PRZEKŁADA SIĘ NA RODZIME UZNANIE.

Niegdysiejsza gwiazda niepoprawności politycznej, w obawie przed banicją i pozwami sądowymi, spokorniała. Na dodatek na stronach swojego dziennika odsłania się, podkreśla swoją transparentność, dokonuje ugładzonej egzegezy własnych poglądów. Świat bez tajemnicy, przezroczysty, świat chóru śpiewającego tę samą melodię – to świat totalny, o którym tak bardzo chcieliśmy zapomnieć. Widać, jego licznym mandarynom udało się „naprawić", jak można było dotychczas sądzić, ostatniego nonkonformistę współczesnej literatury. A może mamy do czynienia z houellebecqowską prowokacją? Dążeniem do ustawienia się w roli ofiary, tak modnej w naszych czasach. Czyżby Houellebecq chciał pokazać obłudę ofiarniczych narcyzów? Dowiemy się wkrótce.

NIEGDYSIEJSZA GWIAZDA NIEPOPRAWNOŚCI POLITYCZNEJ, W OBAWIE PRZED BANICJĄ I POZWAMI SĄDOWYMI, SPOKORNIAŁA.

eprasa.pl d90fd1bdd3

MIX PŁYT

Bartosz Boruciak

POLUZJANCI – 4P
WYD. AGORA KSIĄŻKA I MUZYKA

Zespół Poluzjanci po trzynastoletniej dyskograficznej posusze wraca z nową płytą i dostarcza dźwięków, które nie są częstym zjawiskiem w głównym nurcie. Wszechstronni muzycy na czele z Kubą Badachem dają nam piosenki, które potwierdzają ich wysokie umiejętności. Ballady z ogniem, których nie powstydziliby się amerykańscy twórcy, z wokalem Badacha tworzą niesamowitą mieszankę. Naprawdę warto sprawdzić tę płytę, żeby rozwinąć swoje muzyczne horyzonty i docenić zespół za to, że podchodzi do muzyki z szacunkiem. Polecam!

LEMON – ETIUDA ZIMOWA 2
WYD. WŁASNE

Można krzyknąć, że w końcu choć na chwilę spadł śnieg, a zima znowu zaskoczyła polskich kierowców. Gdzieniegdzie zaczęły się już ferie zimowe, dzieci wyjeżdżają, a rodzice? Mogą w długie wieczory włączyć „Etiudę zimową", która idealnie odnajdzie się w towarzystwie gorących napojów, kominka albo rozgrzanego kaloryfera. Igor Herbut swoim charakterystycznym głosem uspokoi nasze skołatane nerwy przy akompaniamencie oszczędnych dźwięków, gdzie melodie mogą wybrzmieć i stworzyć przytulną atmosferę. Płyta idealna do długich nocnych pogawędek.

RENI JUSIS – RE TRANS MISJA
WYD. KAYAX

Po ponad dwudziestu latach Reni postanowiła na nowo przearanżować płytę, która umocniła jej pozycję na polskim rynku muzycznym. Wokalistka z powodzeniem przenosiła muzykę elektroniczną do popu, dzięki temu syntezatorowe brzmienia znalazły nowe pole eksploatacji. Jak jest teraz? Lepiej, ale inaczej. Jest więcej luzu, a z nowych aranżacji wydobywa się dojrzałość artystki. Dźwięki nie są wymuszone, swobodnie płyną do naszych uszu. Są ciekawi goście. Nic, tylko się bawić. W tym przypadku muzyka starzeje się bardzo dobrze.

OLIWKA BRAZIL – OH MY GAWD
WYD. WARNER MUSIC POLAND

W przypadku młodej raperki nie warto oceniać płyty po okładce. Po wysłuchaniu kilku singli zdążyłem sobie wyrobić zdanie na temat Oliwki i już miałem w głowie gotowy zarys recenzji jej płyty. Jednak wykonawczyni ma wielki potencjał. Jeżeli wykona dużo pracy, będzie w stanie osiągnąć w rapie zdecydowanie więcej. Obecnie mamy epatowanie kobiecością i hedonizmem. Raperka polaryzuje odbiorców, którzy zwracają szczególnie uwagę na jej wygląd. Jestem ciekaw, w jakim kierunku będzie zmierzać kariera tej wokalistki i czy – parafrazując rapowy kawałek – Brazil odpali szampana? Pożyjemy, zobaczymy.

eprasa.pl d90fd1bdd3

HISTORIA

Kartka z kalendarza. **21 STYCZNIA** zdarzyło się:

1911 – rozpoczął się 1. Rajd Monte Carlo;

1919 – naczelnik państwa Józef Piłsudski wydał rozkaz specjalny o nadaniu weteranom powstania styczniowego uprawnień żołnierzy Wojska Polskiego.

HALINA ŻUROWSKA „BAŚKA” – jedyna kobieta zamordowana na Rakowieckiej

Zdjęcie sygnalityczne Heleny Żurowskiej, wykonane w MBP po aresztowaniu. Warszawa, 1948 r.

Fot. z zasobu IPN/wikipedia.org

eprasa.pl d90fd1bdd3

21 września 1949 r. oznaczał kres życia 44-letniej patriotki, kobiety-wywiadowcy, która – gdyby nie dwie okupacje: niemiecka i sowiecka – zapewne dalej z powodzeniem prowadziłaby rodzinny majątek ziemski pod Lwowem liczący 460 ha. Halina Żurowska zginęła dlatego, że **poznała prawdę** o V Komendzie Zrzeszenia Wolność i Niezawisłość. A prawda ta brzmiała: pod płaszczykiem organizacji niepodległościowej ukryta była prowokacja komunistycznej bezpieki o kryptonimie „Cezary".

Tadeusz Płużański

Halina przyszła na świat 24 czerwca 1905 r. w Olszanicy (powiat leski) w tradycyjnej rodzinie ziemiańskiej Żurowskich herbu Leliwa. Jej ojciec, Wiktor Żurowski, był właścicielem majątków w Myczkowcach, Zwierzyniu, Bereźnicy, Hawłowicach, Posadzie Nowomiejskiej (tu Halina spędziła dzieciństwo) i Boniowicach koło Dobromila. Matka, Władysława Gniewosz, herbu Rawicz była córką Stanisława Gniewosza, wiceprezesa Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego w Galicji. Rodzice wzięli ślub 28 września 1900 r. w kościele Ojców Jezuitów we Lwowie.

Halina ukończyła Politechnikę Lwowską, uzyskując tytuł inżyniera rolnika. Od 1926 r. pracowała w Małopolskim Towarzystwie Rolniczym, potem w stacjach doświadczalnych, by w 1938 r. – po śmierci ojca – całkowicie przejąć zarządzanie majątkiem Boniowice. Znajdujące się w województwie lwowskim gospodarstwo należało do wyróżniających się, powstała tam m.in. subplantacja oryginalnego wczesnego owsa „Oberek".

Wiemy, że Halina nosiła się po męsku. Mieszkanka Boniowic, której matka pracowała u Żurowskich, zapamiętała ją jako „dobrą panią", która świetnie jeździła konno.

NOSIŁA SIĘ PO MĘSKU. MIESZKANKA BONIOWIC ZAPAMIĘTAŁA JĄ JAKO „DOBRĄ PANIĄ", KTÓRA ŚWIETNIE JEŹDZIŁA KONNO.

Pod skrzydłami mjr. Mazurkiewicza

Wojna zastała ją w Boniowicach. Kiedy zbliżali się Sowieci, uciekła na koniu, przechodząc ostatecznie przez góry na Węgry. W Budapeszcie złożyła przysięgę przed majorem Janem Mazurkiewiczem „Zagłobą" (późniejszym „Radosławem"), który 17 września 1939 r. założył w Stanisławowie Tajną Organizację Wojskową, przenosząc następnie działalność na Węgry. W styczniu 1940 r. Żurowska została kurierką ośrodka Baza „Romek".

Pod skrzydłami mjr. Mazurkiewicza Halina wykonywała coraz bardziej odpowiedzialne i niebezpieczne zadania. Organizowała punkty kontaktowe, przerzut broni, obsługując trasę „Las": Budapeszt – Ungwar – Żubracze – Sanok. Szlak, prowadzący bezpośrednio spod niemieckiej okupacji na węgierską Ruś Zakarpacką, był jednym z bezpieczniejszych, ale też najuciążliwszych – w trudnych warunkach terenowych trzeba było przejść ok. 70 km. Halina radziła sobie z tym doskonale.

W czerwcu 1940 r., kiedy Komenda TOW przeniosła się do kraju, Żurowska trafiła do Krakowa, gdzie wstąpiła do Związku Walki Zbrojnej, zostając zastępcą kierownika komórki przerzutowej „Południe". Po rozbiciu przez Niemców konspiracji krakowskiej wiosną 1941 r. została kurierką Komendy Głównej ZWZ, prowadzącą łączność z okręgami wschodnimi. W latach 1942–1943 wróciła do Tajnej Organizacji Wojskowej, zostając szefem łączności Obszaru Lwów.

Kiedy w marcu 1943 r. TOW mjr. Mazurkiewicza scaliła się z Armią Krajową, trafiła do Kierownictwa Dywersji Komendy Głównej AK. Pełniła funkcję kurierki do zadań specjalnych, posługując się fałszywymi dokumentami na nazwisko Anna Jaroszewicz oraz używając kilku pseudonimów, m.in. „Baśka", „Helena", „Leliwa", „Heniek". Pracowała również przy wytwarzaniu materiałów wybuchowych.

23 grudnia 1943 r. podczas wigilii żołnierskiej w mieszkaniu w Warszawie przy ul. Dobrej 37/18, „Helena" została odznaczona Krzyżem Walecznych po raz pierwszy – za działalność konspiracyjną.

Powstanie i obozy

W powstaniu warszawskim walczyła w Śródmieściu (Batalion „Iwo"), stacjonującym w rejonie ul. Kruczej i Marszałkowskiej, a później na Czerniakowie (Zgrupowanie „Radosław"). Aby utrzymać łączność z dowództwem powstania, przenosiła osobiście

eprasa.pl d90fd1bdd3

ustne meldunki płk. „Radosława” (Jana Mazurkiewicza) do gen. „Montera” (Antoniego Chruściela). Kursowała kanałami między Czerniakowem, Mokotowem i Śródmieściem. 17 września 1944 r. na Czerniakowie została ranna w prawą rękę i znalazła się w szpitalu powstańczym przy ul. Wspólnej 27.

W POWSTANIU WARSZAWSKIM WALCZYŁA W ŚRÓDMIEŚCIU (BATALION „IWO”), STACJONUJĄCYM W REJONIE UL. KRUCZEJ I MARSZAŁKOWSKIEJ, A PÓŹNIEJ NA CZERNIAKOWIE (ZGRUPOWANIE „RADOSŁAW”).

29 września Żurowską mianowano podporucznikiem, a rozkazem Komendy Okręgu Warszawskiego AK nr 35 z dn. 1 X 1944 r. otrzymała Krzyż Walecznych po raz drugi.

6 października 1944 r. trafiła do niewoli, najpierw do szpitala w Gross Liibars (Stalag XI A), a później do jenieckiego Molsdorf, gdzie 11 kwietnia 1945 r. została wyzwolona przez wojska amerykańskie.

W następnych miesiącach przebywała w obozach dla byłych jeńców-kobiet w Burgu, Darmstadt i Weinheim. W październiku 1945 r. powróciła jako repatriantka do okupowanej przez sowietów Polski. Głównym powodem miało być poszukiwanie „Radosława”, jednak już dwa miesiące później „Baśka” przekroczyła granicę w Cieszynie, by wrócić do Niemiec.

Na kurierskim szlaku

Przez cały ten czas Żurowska nawiązywała kontakty z osobami z dawnej konspiracji. W sierpniu 1946 r. weszła w skład aparatu łączności Ministerstwa Spraw Wewnętrznych Rządu RP na Uchodźstwie. Znów, jako kierownik komórki kurierskiej, organizowała trasy przerzutowe i werbowała kurierów.

W lipcu 1947 r. otrzymała polecenie zorganizowania drogi przerzutowej przez Szczecin i ożywienia działalności delegatury szczecińskiej MSW. Do Szczecina dostała się przez Berlin i zieloną granicę lądową. Przewoziła fundusze na działalność antykomunistyczną. Kiedy na miejscu okazało się, że delegatura MSW została rozbita przez UB, zaczęła tworzyć – zgodnie z planem – nowe struktury łączności. Usiłowała też wyjaśnić losy wcześniej wysłanych do Polski kurierów, po których ślad zaginął. Po ok. 10 dniach, w początkach sierpnia 1947 r., tą samą drogą wróciła na Zachód.

W marcu 1948 r. otrzymała polecenie zbadania losów wysłanych w listopadzie 1947 r. kurierów: Jana Kaima, Stanisława Mierzwińskiego i Henryka Pawłowskiego, oraz rozpoznania możliwości tworzenia nowych i usprawnienia istniejących dróg przerzutowych. Jednak dwukrotne próby przedostania się do Polski drogą przez Czechy nie powiodły się: w marcu nie przybył do Monachium czeski przewodnik, w czerwcu ze względu na wzmożoną kontrolę granicy czesko-niemieckiej wstrzymano operację.

„Baśka” w Krakowie

Dopiero w lipcu 1948 r. Halina Żurowska, posługując się pseudonimem „Baśka”, została przeprowadzona przez granicę niemiecko-czeską w górach Czeski Las. Pociągiem przez Domażlice, Pilzno i Pragę dotarła do Trzyńca, by następnie przekroczyć granicę koło Wisły i przybyć do Krakowa. Niestety od lutego 1948 r. trasy przerzutowe były już znane bezpiece, a większość kurierów siedziała w więzieniu. Po przedostaniu się do Krakowa Żurowska podjęła działania operacyjne wyznaczone jej przez MSW, przede wszystkim szukała kontaktu z przedstawicielami WIN.

5 września 1948 r. w Krakowie Halina Żurowska „Baśka” spotkała się z przedstawicielem Zrzeszenia Wolność i Niezawisłość. Nie wiedziała, że V Komenda WiN była stworzona przez MBP, i została wciągnięta w jego grę operacyjną. Mistyfikację ułatwiał fakt, że nie znała osób, które w imieniu WIN-u nawiązywały z nią kontakt. W krótkim czasie odbyła z nimi kilka spotkań, podczas których uzgodniła, że do czasu stworzenia przez nią własnej sieci łączności, WiN będzie przekazywał jej sprawozdania dotyczące sytuacji polityczno-gospodarczej. Organizacja starała się również za jej pośrednictwem ściągnąć na stałe do kraju delegata MSW. Ponieważ kurier, który miał przybyć do niej w tym czasie z Monachium, nie zgłosił się, 13 września w Warszawie „Baśka” zaszyfrowała sprawozdanie z dotychczasowych rezultatów swojej misji i przekazała je do prze-

Z DOSTĘPNYCH AKT SPRAWY WYNIKA, ŻE ZARÓWNO W ŚLEDZTWIE, JAK I NA ROZPRAWIE ZACHOWAŁA TWARDĄ I GODNĄ POSTAWĘ.

eprasa.pl d90fd1bdd3

rzucenia na Zachód drogami WiN-u. Do następnego spotkania z rzekomym przedstawicielem organizacji 20 września nie doszło, gdyż „Baśka" zorientowała się, że jest obserwowana. Starała się zatrzeć ślady i ostrzec pozyskaną do współpracy przedwojenną znajomą Marię Kolską, która próbowała w Rzeszowie zalegalizować pobyt Żurowskiej i zgodziła się sporządzać dla niej raporty z terenu województwa rzeszowskiego.

Śledztwo i wyrok

29 września 1948 r. Żurowska została aresztowana w Gdańsku, gdzie przybyła poprzedniego dnia wieczorem. Natychmiast przewieziono ją do Warszawy i poddano wyczerpującemu śledztwu w centrali MBP przy ul. Koszykowej. „Baśkę" przesłuchiwali m.in. por. Stanisław Dzyndra, por. Ryszard Matejewski, ppor. Adam Adamuszek, chor. Czesław Wieczorkiewicz. 8 października 1948 r. wiceprokurator mjr Zenon Rychlik wydał postanowienie o tymczasowym aresztowaniu Żurowskiej, a 12 listopada została osadzona w więzieniu na Mokotowie.

Z dostępnych akt sprawy wynika, że zarówno w śledztwie, jak i na rozprawie zachowała twardą i godną postawę. Zaprzeczała tezom śledczych i świadków, odwoływała własne zeznania jako wymuszone, wskazywała na uchybienia proceduralne. Wszystko po to, by chronić pomagające jej osoby. 23 marca 1949 r. wydano postanowienie o zamknięciu śledztwa i sporządzono akt oskarżenia.

4 sierpnia 1949 r., podczas czterogodzinnego procesu w więzieniu na Mokotowie, bez udziału obrońcy, Żurowska tylko częściowo przyznała się do stawianych jej zarzutów i starała się obalić twierdzenia aktu oskarżenia oraz zeznania świadków. Na zakończenie postępowania dowodowego zażądała jego uzupełnienia, co w razie uwzględnienia oznaczałoby wznowienie śledztwa. Nie skorzystała z prawa do ostatniego słowa.

8 sierpnia 1949 r. Wojskowy Sąd Rejonowy w Warszawie pod przewodnictwem mjr. Zbigniewa Furtaka (ławnicy: por. Włodzimierz Grabowski, ppor. Janusz Siemionek) skazał ją z art. 86 § 1 i 2 KKWP oraz art. 7 i 6 Dekretu z 13 VI 1946 r. na karę śmierci z utratą praw publicznych i obywatelskich praw honorowych na zawsze oraz przepadek całego mienia.

Równocześnie sąd wydał opinię, że skazana nie zasługuje na ułaskawienie.

6 września 1949 r. Najwyższy Sąd Wojskowy w składzie: przewodniczący ppłk Józef Dziowgo, sędzia-sprawozdawca ppłk Jan Hryckowian i sędzia ppłk Zdzisław Gołębiowski utrzymali wyrok w mocy. „Prezydent" Bierut decyzją z 14 września 1949 r. nie skorzystał z prawa łaski.

Halina Żurowska została zamordowana strzałem w tył głowy przez kata Mokotowa – starszego sierżanta Aleksandra Dreja – 21 września 1949 r. ok. godz. 20.

„Wszystkim samotnym..."

Współwięźniarka Stefania Komendowska-Hucuł wspominała, że przed wyprowadzeniem z celi Żurowska poprosiła o zaśpiewanie jej ulubionej piosenki: „Wszystkim samotnym/ którym wolność się marzy we śnie/ których radość omija i szczęście omija/ i którym jest bardzo źle". Z celi wyszła spokojnie, idąc na stracenie paliła kolejnego papierosa.

O okolicznościach śmierci „Baśki" wspomina też w swojej książce „Śród żywych duchów" Małgorzata Szejnert: „Jadwiga Woźniak z Mińska Mazowieckiego przyszła opowiedzieć, że przy niej zabrano z celi Halinę Żurowską, kurierkę, skazaną na śmierć. Proponowali jej przedtem podpisanie zeznań, że Jan Mazurkiewicz «Radosław» współpracował z Niemcami. Obiecywano, że wtedy wyjdzie. Nie podpisała. Następnego dnia więźniarki dowiedziały się od mężczyzn spotkanych w łaźni, że prali spódnicę z szarej flaneli. Ona miała taką właśnie spódnicę, więc na pewno ją stracono".

Rodzina nie otrzymała jej ciała, nie poinformowano jej również o miejscu pogrzebania zwłok. Najprawdopodobniej została zakopana w zbiorowym dole śmierci na powązkowskiej „Łączce".

Szanse rozpoznania „Baśki" wzrosły, kiedy na cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie udało się odnaleźć grobowiec rodziców i pobrać do identyfikacji materiał genetyczny.

Wyrok skazujący został unieważniony dopiero postanowieniem Wojskowego Sądu Okręgowego w Warszawie 5 września 2018 r.

„PREZYDENT" BIERUT DECYZJĄ Z 14 WRZEŚNIA 1949 R. NIE SKORZYSTAŁ Z PRAWA ŁASKI.

Z CELI WYSZŁA SPOKOJNIE, IDĄC NA STRACENIE, PALIŁA KOLEJNEGO PAPIEROSA.

eprasa.pl d90fd1bdd3

Styczeń 1863 słowami powstańca

Było **ostatnim** z szaleńczych zrywów narodowych mającym wieść do odzyskania niepodległej Ojczyzny. Kolejnym, kiedy część poszła walczyć, a część się temu przyglądała. O Powstaniu Pańskim, czy też Polskim – jak je przez lata nazywano – słyszałem od dziadków, a ci z kolei od swoich, biorących w nim udział. Opowieści o tragediach, których doświadczyli członkowie rodziny, pobrzękiwały w moich uszach. Aresztowania i tortury. Konfiskata majątku, wygnanie i dziesięciolecia tułaczki. Sybir albo szubienica.

Piotr Grzybowski

To, czy powstanie warte było tak wielkich kosztów, jest jednym z wątków poruszanych w setkach publikacji i naukowych rozpraw. A jednak cudem przetrwania społeczeństwa, pracy u podstaw było mozolne zbudowanie świadomości państwowej u wszystkich warstw społecznych i ukształtowanie warstwy inteligencji, która dała zapłon do nowego, skutecznego działania, pozbawionego sentymentu do bezpłodnej przeszłości. Powstanie doprowadziło wreszcie do zrozumienia wśród elit, że zwycięstwo, nasza niepodległość to walka głową, rozumem i przebiegłością, bez kompleksów wad narodowych.

Chcę Państwu przywołać Ludomira Grzybowskiego h. Prus, wtedy porucznika Żandarmerii Narodowej, aby jego słowami przenieść się w lata zrywu styczniowego.

„Kiedy w roku 1861 rozpoczęły się manifestacje,
byłem aplikantem sądowym w sądzie poprawczym. Podmuch do wspomnianych manifestacji, a w następstwie i zaburzeń w Polsce, przyszedł z zagranicy, o ile wiem, z Anglii. Nie bawiłem się nigdy dyplomacją, więc nie znam powodów, jakie skłoniły Anglię do podniecenia umysłów, wzbudzenia nadziei, słowem do obudzenia patriotyzmu w narodzie (któren co prawda był uśpiony), a tym samym do wywołania zaburzeń wewnątrz państwa rosyjskiego.

Na prowincji rozpoczęły się manifestacje śpiewaniem pieśni patriotycznych, po kościołach, pod figurami, krzyżami etc. Następnie sprawieniem chorągwi do kościołów... Dalej ubiorami polskimi, mianowicie czamarkami, konfederatkami, żupanami, a niekiedy i kontuszami. W końcu urządzano procesje na odpusta, do których to procesji należała tak zwana wyższa sfera. Było w tych pielgrzymkach odrobinę nabożeństwa, a dużo profanacji, bo szli tacy, którzy w zwykłych warunkach nie byliby się chcieli pokazać, wobec zaś prądu patriotycznego wychodzili pierwsi, aby byli widziani, śpiewali najgłośniej, aby byli słyszani, grozili najbardziej, aby ich miano z najodważniejszych. Każden chciał się odznaczyć...

W Warszawie zaś zgromadzał się naród przed figurami świętych, statuami Matki Boskiej, na ulicach: Leszno, Krakowskie Przedmieście, Stare Miasto i tam śpiewy i modły odprawiał...

Był naówczas namiestnikiem w Królestwie Polskim
z rezydencją w Warszawie książę Gorczakow i czy te obawy uważał za nic nieznaczące, czy traktował to jako zabawkę dziecinną, czy wreszcie z rozmysłem działając, patrzał przez szpary, aby późniejsze następstwa, jakie zarządził, były usprawiedliwione, dość, że policja przeszkód żadnych nie czyniła. To pobłażanie władzy poczytał lud za obawę i dowód jej słabości, a podżegacze zapewniali zwycięstwo nad wojskiem niedostatecznym do zwalczenia ludności Warszawy. Jawnie więc zapowiedziano, że w dniu 25 lutego obchodzić będą rocznicę bitwy pod Grochowem.

KOZACY BILI I KALECZYLI NARÓD, A PIECHOTA SOBĄ ZAGRODZIŁA PRZEJŚCIE PRZED GMACHEM DOBROCZYNNOŚCI. LUD BRONIŁ SIĘ, CZYM KTO MÓGŁ, LASKAMI, PARASOLKAMI, A W KOŃCU KAMIENIAMI.

Po nabożeństwie wyszli procesjonalnie z pochodniami i chorągwiami o barwach narodowych, zamierzając przejść Krakowskie Przedmieście do kościoła św. Aleksandra na placu Trzech Krzyży. Lecz pochód ten został wstrzymany przez wojsko, przy czym doszło do krwawego starcia, bo dużo osób było mniej lub więcej rannych.

eprasa.pl d90fd1bdd3

Ze zbiorów Biblioteki Narodowej

Ludomir Grzybowski, praprzodek autora tekstu

Dnia 27 lutego w kościele oo. Karmelitów na Lesznie pod pozorem pomodlenia się za poległych w starciu, o jakim wyżej była mowa, zebrała się masa różnorodnego ludu. Po modlitwie wyszli z kościoła i uszykowawszy się w czwórki, bez księży i śpiewów, ruszyli z zamiarem przejścia ulicą Długą na Krakowskie Przedmieście do Pałacu Namiestnikowskiego. Książę Gorczakow wydał rozkaz, aby wojsko, tj. kozacy i piechota, zaczaili się koło zamku i uderzyli na tłum przy wejściu ze Starego Miasta. Wtedy to nastąpiło groźniejsze od pierwszego starcie, bo kozacy bili i kaleczyli naród, a piechota sobą zagrodziła przejście przed gmachem dobroczynności. Lud bronił się, czym kto mógł, laskami, parasolkami, a w końcu kamieniami. Piechota dała ognia z karabinów i położyła trupem pięciu...

Kiedy Wielki Książę Konstanty przybył wraz z żoną na mieszkanie do Warszawy, nie był ani witany, ani przyjmowany tak, jak powinno było być, bo Polacy już marzyli o czym innym, bo pragnęli zmiany panującego, bo chcieli mieć na tronie nie Moskala, ale Polaka... A że tego od razu stosownie do życzenia nie otrzymali, więc utworzył się Rząd Narodowy. I wobec rozbudzonych, roznamiętnionych uczuć narodowych, ile wiem, młodzież gotowa była na każde skinienie iść na ofiarę, bo tego Rząd Narodowy wymagał... A kto, odebrawszy jaki bądź rozkaz, takowego co do litery nie wykonał, już był zakwalifikowany na karę śmierci. I byli tak zwani sztyletnicy, którzy takie wyroki Rządu Narodowego wykonywali. Były znów losowania i na kogo padł taki los, bez względu na to, co go czeka, musiał spełnić rozkaz, bo inaczej byłby zasztyletowany. Taki właśnie los spadł na niejakiego Jaroszyńskiego, aby zabił Wielkiego Księcia Konstantego.

Wielcy Księstwo Konstantowie byli względnie sympatycznie usposobieni do Polaków. Chcieli zdaje się nawzajem, aby i Polacy opłacali się sympatią. Aby dać dowód jednoczenia się z Polakami, kiedy narodził im się syn w Warszawie, nadano mu imię Wacław. Ale to wszystko nic nie znaczyło, bo Polacy nie chcieli widzieć Moskala panującym i postanowili wszystkich wytępić. Otóż pewnego dnia, kiedy Wielki Książę wyszedł wraz z żoną, aby wsiąść do pojazdu, ów wylosowany Jaroszyński strzelił do niego

eprasa.pl d90fd1bdd3

z rewolweru. Kula utkwiła w szlifie, nie czyniąc żadnego obrażenia ciała. Jaroszyński został pojmany i osądzony jako królobójca na powieszenie.

Po tych faktach Margrabia Wielopolski
zarządził pobór do wojska (rozumie się ruskiego) wszystkich młodych ludzi, w mniemaniu zapewne, że tym sposobem przetnie wszystkie wybryki. Z obawy, aby i mnie nie wzięli, wyjechałem na wieś do znajomych. W parę dni przyszła wiadomość, że Rząd Narodowy, przeciwdziałając rządowi ruskiemu, wydał rozkaz, aby wszyscy młodzi ludzie chwycili za broń i stanęli do walki przeciw wrogom. Niestety, cóż to za broń, trochę dubeltówek i kos, a co za żołnierze? Trochę urzędników, trochę uczniów ze szkół, trochę szlachty, którzy pozabierali ze sobą ekonomów, lokai i stangretów. A tu armia ruska wyćwiczona, umontowana, z zapewnieniem przebywania wszędzie, gdzie się podobało, czy po miastach, czy po wsiach, opatrzeni w odzież, żywność etc., etc. A Polacy nigdzie punktu oparcia, nigdzie miejsca swobodnego do jakiegoś zorganizowania się, bo niby w swoim kraju, ale gorzej wychodziło, jakby na obczyźnie, bo tu każden chłop był wróg i nierzadko chłopi łapali powstańców i oddawali w ręce Moskali, a ile namnożyło się szpiegów, donosicieli etc. Wszystko to bowiem szło do przewagi, do siły, słowem, do mocniejszego.

Więc tedy wybuchło powstanie
i były dwa rządy: ruski i tzw. Rząd Narodowy Polski, i obydwa wydawały rozporządzenia, rozumie się wprost sobie sprzeczne. Urzędnicy odbierali rozkazy od Rządu Narodowego z poleceniem wykonania takowych pod karą śmierci. Od rządu zaś ruskiego przeciwnie, z zagrożeniem dymisji i odpowiedzialności osobistej.

Małogoszcz, licha bardzo mieścina,
starodawnego typu budynki. Przybyliśmy w sobotę witani uroczyście, bo wyszła naprzeciw nam procesja z chorągwiami, obrazami. Księża na czele i mnóstwo ludu. Wprowadzeni tak do miasteczka rozlokowaliśmy się po domach, a Langiewicz ze sztabem zajął kwaterę na plebanii... Tam staliśmy dni kilka, nikt nas nie niepokoił. Odbywaliśmy musztry i ćwiczenia. Było nas tedy około pięciu tysięcy, zresztą sądzę, że nikt tego dokładnie nie wiedział, bo nie było godziny, aby bądź mniejsze oddziały, bądź pojedynczo nie przybywali.

Siedziałem w Rudzie Promnickiej jak mysz w pudle,
a chociaż jeszcze o ruchach wojsk ruskich wiadomość od dworu do dworu nadchodziła, więc jak tylko dano znać, wynosiłem się w las i tam czasami całe dnie, a niekiedy i noce, przebywałem. Jednej nocy rozbudzony hałasem i niezwykłym ruchem koło dworu, zerwałem się, a wyjrzawszy oknem, zobaczyłem cały dom dookoła otoczony wojskiem... Otworzono drzwi i wszedł oficer od piechoty z kilkoma żołnierzami. Zrobili rewizję w pokoju, a mnie kazano wstać, ubrać się, mówiąc, że jestem aresztowany...

Ledwieśmy się rozejrzeli po tym niby odwachu,
a właściwie kozie, gdzie złodziei i włóczęgów trzymali, przyszedł oficer dyżurny z dwoma żołnierzami i zapytał: «Któren to Pan Grzybowski?», a gdym się odezwał, mówi: «Proszę do jenerała». Poszedłem pod eskortą na pierwsze piętro i tam mnie wprowadzili do gabinetu. Oficer żołnierzy zostawił ze mną, a sam wyszedł. Niezadługo słyszę ostrogi i wszedł pan jenerał. Usiadł na fotelu i zwyczajnym głosem zaczął wypytywać, gdzie byłem, w których oddziałach, w jakich bitwach, jaka była organizacja: «Wszystko tu jest zapisane i tyś dawno powinien być, jeśli nie na szubienicy, to na Syberii». Na wszystko odpowiadałem i na każde pytanie wymijająco. W końcu mówię: «Jako Polak musiałem i powinienem był iść walczyć, inaczej wszyscy by mną pogardzali, tak jak ja sam sobą. Powinien ekscelencja uwzględnić, bo inaczej zrobić nie mogłem»"...

WOBEC ROZBUDZONYCH, ROZNAMIĘTNIONYCH UCZUĆ NARODOWYCH, ILE WIEM, MŁODZIEŻ GOTOWA BYŁA NA KAŻDE SKINIENIE IŚĆ NA OFIARĘ, BO TEGO RZĄD NARODOWY WYMAGAŁ...

Fragmenty tekstów zaczerpnięte są z pamiętników z Powstania Styczniowego Ludomira Grzybowskiego, spisanych w Krakowie na początku XX w., zdeponowanych w zbiorze starodruków Biblioteki Narodowej w Warszawie.

eprasa.pl d90fd1bdd3

ŚWIAT WEDŁUG WRÓBLA

Jak majstrować przy historii?

Jan Wróbel

Jakie będą te zapowiadane już wiele razy wielkie (Wielkie?) zmiany (Zmiany?) w podstawie programowej m.in. szkolnej historii, planowane na rok 2026? Mogę się założyć, że jakie by nie były, spowodują tak zwaną burzę.

1. Opcja patriotyczna podniesie krzyk, że Polak mały nie dowie się już nigdy o Władysławie Łokietku. Wyrośnie zatem na kosmopolitę, pół Ruska – pół Tuska, ze skłonnością do ideologii gender.

2. Opcja demokratyczna podniesie larum, że historia nie poświęca wystarczająco dużo uwagi problemom społeczeństwa obywatelskiego, winy za Holocaust i fundamentalnego znaczenia kobiet w dziejach.

3. Opcja nauczycielska niczego nie podniesie, tylko będzie kwękać, że „Oni" znowu „coś zmieniają", a ty, człowieku, jak ta pańszczyźniana chłopka kosmopolitka pokornie znosić będziesz wyroki mądrej władzy.

Dla mnie najważniejsze jest to, abyśmy traktowali starcia o wielkie idee towarzyszące nauczaniu o przeszłości jako daleko mniej istotne niż te właśnie kwękania.

Od lat, akurat słusznie, kładzie się nacisk, aby uczniowie raczej rozumieli, niż mieli wykute. Warto zwrócić uwagę, że dwa z trzech obowiązkowych przedmiotów maturalnych, angielski i matematyka, chcą umiejętności zastosowania wiedzy, a nie wiedzy ot, tak sobie. Nie pomoże znajomość definicji trapezu – musisz rozwiązać zadanie. Nic dziwnego, że i szkolnej historii stawia się poważne cele. A to wnioskowania, a to rozumienia tekstów, a to analizy treści ilustracji, a nawet map, tej uczniowskiej zmory. Co do zasady jednak dodawaniu wartościowych zadań, wymagających szkolnego czasu i wysiłku, nie towarzyszy zmniejszanie faktografii. Kiedy raz próbowano takiej sztuczki, aby uczyć w szkole mniej, ale lepiej, a za wyborem treści nauczania historycznego stał po prostu nauczyciel, nie minister, opcja patriotyczna rozpoczęła głodówkę! Co się działo z opcją demokratyczną za PiS, to chyba dobrze pamiętamy.

À propos PiS – radosna twórczość ruszyła w 2015 roku pełną parą. Jak u kulturystów: rzeźby trochę, masy dużo. W podstawie programowej znalazło się wszystko, może poza numerem kołnierzyka generała Józefa Hallera. Nie wierzycie? Uczeń: „wyjaśnia międzynarodowe i wewnętrzne uwarunkowania związków Polski z Węgrami i Litwą w XIV i XV wieku"; „wyjaśnia początek ewolucji unii polsko-litewskiej: od unii w Krewie do unii w Horodle"; „charakteryzuje działania Stefana Batorego w zakresie polityki wewnętrznej i zagranicznej"; „wyjaśnia związek między «wiekiem świateł» a rozwojem tajnych stowarzyszeń (masoneria, iluminaci, różokrzyżowcy)"...

> SZKOŁA SIĘ ZMIENIA... ALE JAK TA PAŃSZCZYŹNIANA CHŁOPKA KOSMOPOLITKA POKORNIE ZNOSIĆ BĘDZIESZ WYROKI MĄDREJ WŁADZY.

Historia dopiero wtedy staje się ciekawa, kiedy dać opowiadaczom historii czas na jej spokojne opowiedzenie oraz prawo do autonomii wobec przygotowanych przez „Onych" wytycznych. Ja właściwie wiem, że tego już nie doczekam, ale nadzieja, jak wiadomo nie od dziś, umiera ostatnia.

eprasa.pl d90fd1bdd3

CO W ZWIĄZKU

NSZZ Solidarność

MARCIN KRZESZOWIEC

PIOTR DUDA:
Całkowicie nie zgadzam się z opinią rzecznika TSUE

Fot. M. Żegliński

Rzecznik generalny TSUE Nicholas Emiliou wydał 14 stycznia opinię, w której stwierdził, że dyrektywa w sprawie adekwatnego wynagrodzenia minimalnego jest niezgodna z prawem Unii Europejskiej. Opinia w sprawie dyrektywy nie jest wiążąca. Nowe prawo powinno zostać wdrożone w państwach członkowskich do 15 listopada ubiegłego roku. Zgodnie z dyrektywą państwa UE o zasięgu rokowań zbiorowych poniżej 80 procent powinny opracować plan działania na rzecz promowania takich rokowań.

Przewodniczący Solidarności Piotr Duda przypomniał w oświadczeniu, że dyrektywa dotyczy godnego poziomu najniższych, gwarantowanych prawem wynagrodzeń i podkreśla znaczenie układów zbiorowych pracy, dając realne narzędzia do ich promowania i wzmacniania.

– Niestety, wkrótce po przyjęciu dyrektywy Dania wraz ze Szwecją złożyły do TSUE skargę, w której zakwestionowały zgodność dyrektywy z unijnymi traktatami. Skandynawowie bronią w ten sposób swojego modelu, w którym to partnerzy społeczni decydują o sprawach związanych z płacami i warunkami pracy. Broniąc go, uderzają w innych, w tym w pracowników w Polsce – zaznaczył przewodniczący Solidarności.

– Postępowanie przewiduje wydanie opinii przez niezależnego eksperta, tzw. rzecznika generalnego. Rzecznik wniósł o anulowanie dyrektywy w całości, negując przy tym dotychczasowy dorobek UE w sprawach społecznych. Całkowicie się z nim nie zgadzam. Opinia nie jest wiążąca dla Trybunału i mam głęboką nadzieję, że ten nie podzieli argumentacji pana Emiliou. Jeśli jednak tak się stanie, to po raz kolejny Trybunał zawiedzie pracowników w Polsce – podkreślił Piotr Duda, przypominając decyzję TSUE nakazującą zaprzestania wydobycia węgla w kopalni Turów.

NAGRODY FINANSOWE DLA PRACOWNIKÓW PKP PLK

Zarząd PKP Polskich Linii Kolejowych zdecydował o przyznaniu pracownikom jednorazowej nagrody w wysokości 700 zł brutto za 2024 rok.

Dodatkowy zastrzyk pieniędzy trafi na konto załogi wraz z grudniową wypłatą, czyli 9 stycznia 2025 roku. Nagrodę otrzymają pracownicy zatrudnieni w spółce przed 30 września 2024 roku.

„Rok 2025 stawia przed nami kolejne wyzwania i zadania. […] Ich realizacja oparta będzie na fundamentach takich jak jakość, efektywność i zaangażowanie” – napisał prezes PKP PLK Piotr Wyborski w liście do pracowników.

„Dziękuję za Państwa codzienną odpowiedzialną służbę oraz profesjonalizm i rzetelność w pracy, które niewątpliwie przyczyniają się do poprawy efektywności zadań realizowanych przez Polskie Linie Kolejowe” – dodał.

Solidarność w PKP PLK oceniła, że wysokość nagrody jest „miłą niespodzianką i dobrym rozpoczęciem 2025 roku”.

eprasa.pl d90fd1bdd3

Fot. M. Żegliński

„Koszty energii w Europie są jednymi z największych na świecie. Europa chciała być przykładem, a tymczasem została ograna. Zamiast rozwijać się gospodarczo, zaczyna się zwijać”.

Bartłomiej Mickiewicz, wiceszef Solidarności, Radio dla Ciebie, 16 stycznia br.

Związkowcy wskazali, że środki finansowe na wypłatę nagrody „pochodzą z oszczędności funduszu wynagrodzeń, gdyż spółka pracowała w ciągu 2024 roku niższym zatrudnieniem, niż wynikało to z planu, o ok. 200 etatów”.

„Ponadto swoją «cegiełkę» wpływającą na wysokość nagrody ma część zakładów, które niewykorzystane fundusze przekazały do Centrali PLK” – podkreślili.

PKP Polskie Linie Kolejowe SA powstała w 2001 roku i zatrudnia obecnie ponad 38,5 tys. pracowników. Spółka odpowiada za zarządzanie państwową siecią linii kolejowych oraz za opracowanie rozkładu jazdy pociągów w całej Polsce.

DYSKRYMINACJA ZWIĄZKOWCÓW

W grudniu 2024 roku pięć osób z zarządu i kierownictwa spółek Malowany Dworek i Martes Sport z Bielska-Białej zostało skazanych w pierwszej instancji przez bielski Sąd Rejonowy za dyskryminację i szykanowanie członków związku zawodowego oraz za utrudnianie działalności związkowej – podała Śląsko-Dąbrowska Solidarność.

Sąd uznał, że doszło do złamania przepisów ustawy o rozwiązywaniu sporów zbiorowych oraz ustawy o związkach zawodowych.

Oskarżeni zostali skazani na wykonywanie prac społecznych w wymiarze 20 godzin miesięcznie – jedna osoba przez rok, a pozostałe przez sześć miesięcy.

– W tej firmie działy się naprawdę bardzo złe rzeczy. Jeden z majstrów chodził po hali i proponował pracownikom 500 złotych za ujawnienie nazwisk osób, które należą do Solidarności. Ponadto osoby reprezentujące pracodawcę nie pozwalały związkowcom wejść na teren zakładu i wyrzucały je – powiedział adwokat Sebastian Larysz, prawnik Śląsko-Dąbrowskiej Solidarności.

– Martes Polska to duża firma, która myślała, że jej wszystko wolno [...]. W trakcie prowadzonego 1,5 roku procesu oraz po przesłuchaniu bardzo wielu świadków Sąd Rejonowy w Bielsku-Białej ocenił, że wszystkie zarzuty postawione oskarżonym są uzasadnione i uznał ich za winnych zarzuconych im czynów – zaznaczył Larysz.

Poszkodowanych zostało ponad 20 związkowców. – Są to pracownicy, którzy zostali zwolnieni lub przeniesieni do pracy w innym miejscu – wyjaśnił Dawid Brożek, przewodniczący MOZ NSZZ „S” Silesia w Stanowicach.

Pracownicy zrzeszyli się w związek zawodowy, żeby poprzez negocjacje poprawić warunki pracy. Związkowcy wszczęli spór zbiorowy, ale pracodawca nie podejmował z nimi negocjacji. Co więcej, fakt rozpoczęcia sporu zbiorowego nie został zgłoszony do Okręgowego Inspektoratu Pracy.

– Ustawa o rozwiązywaniu sporów zbiorowych nakłada na pracodawcę obowiązek podjęcia negocjacji ze stroną związkową. My robiliśmy wszystko, żeby do takich rozmów doszło, a zarząd robił wszystko, żeby ich uniknąć. W tej sprawie sąd także pokazał, kto miał rację – stwierdził Brożek.

M.K.

Kalendarium

Solidarności

24.01.1981 – Międzyzakładowy Komitet Założycielski NSZZ „S” Regionu Mazowsze powołuje Agencję „Solidarność” wydającą ogólnokrajowy biuletyn „AS”;

25.01.1982 – Sejm zatwierdza dekret o wprowadzeniu stanu wojennego;

22.01.1983 – Tymczasowa Komisja Koordynacyjna NSZZ „Solidarność” ogłasza deklarację programową „«Solidarność» dziś”. Za cel postawiono sobie realizację programu reform w duchu demokracji (wzywano do powstrzymania się od przemocy, w sferze gospodarczej nawiązano do „Samorządnej Rzeczpospolitej” z I Krajowego Zjazdu Delegatów NSZZ „Solidarność”);

27.01.1984 – kończy się 60-dniowy strajk głodowy członków Solidarności więzionych w Strzelinie.

eprasa.pl d90fd1bdd3

Volkswagen a sprawa polska

Grudniowe strajki w Volkswagenie odbiły się szerokim echem nie tylko w niemieckich mediach. Koncern po raz pierwszy w historii **zagroził zamknięciem krajowych zakładów**, a pracownicy buntowali się przeciwko zapowiedziom obniżek płac. Ostatecznie udało się podpisać porozumienie, ale jego konsekwencje mogą uderzyć w polskie zakłady VW.

Marcin Krzeszowiec

Fot. Fabian Bimmer / Reuters / Forum

eprasa.pl d90fd1bdd3

Niemieckiej marki Volkswagen nie trzeba nikomu przedstawiać. Motoryzacyjny gigant posiada 114 zakładów produkcyjnych, z czego 10 w Niemczech. Tam też, a konkretnie w Wolfsburgu, znajduje się główna siedziba firmy.

Koncern zmaga się jednak ze znaczącymi spadkami dochodów. W trzecim kwartale 2024 roku Volkswagen odnotował spadek zysku operacyjnego o 64% do 1,58 mld euro. Marża wyniosła zaledwie 2%, a wynik finansowy – w porównaniu do pierwszych 9 miesięcy ubiegłego roku – zmniejszył się o około 20% do 12,9 mld euro. Co jest tego powodem?

Po pierwsze niższy popyt na auta Volkswagena na rynku chińskim – największym rynku samochodowym na świecie. Chińczycy coraz częściej wolą kupować krajowe auta elektryczne zamiast zagranicznych. Do tego należy dołożyć kurczący się rynek motoryzacji w Europie, koszty związane z modernizacją fabryk i wysokie koszty pracy w rodzimych zakładach.

W Niemczech większość pracowników produkcyjnych Volkswagena zarabia od 3900 do 4300 euro brutto miesięcznie. Każdy z nich otrzymuje również miesięczny dodatek 170 euro i roczną premię, która wynosi średnio ponad 4730 euro. Tydzień pracy to 35 godzin, a załoga może liczyć na 36 dni wolnych w roku i dodatki za pracę w nocy czy w niedziele.

Z uwagi na trudności finansowe kierownictwo Volkswagena zapowiedziało wdrożenie programu, który miał przynieść 4 mld euro oszczędności. Wynagrodzenia liczącej ok. 120 tysięcy załogi miały zostać zmniejszone o 10%. Planowano także zwolnienia i zamknięcie trzech zakładów Volkswagena w Niemczech – byłby to pierwszy taki przypadek w 87-letniej historii firmy. Pracodawca zapowiedział także brak podwyżek przez najbliższe dwa lata, a we wrześniu 2024 roku po raz pierwszy posunął się do wypowiedzenia układu zbiorowego pracy, który dawał niemieckim pracownikom gwarancję zatrudnienia do 2029 roku.

Strajki ostrzegawcze

W obronie pracowników stanął związek zawodowy IG Metall, a kilkadziesiąt tysięcy pracowników przystąpiło do akcji protestacyjnych.

Strajki ostrzegawcze wybuchły 2 grudnia w 9 z 10 niemieckich zakładów Volkswagena. Pierwsze linie produkcyjne stanęły na dwie godziny w fabryce w Zwickau, a potem dołączyły do nich kolejne zakłady wraz z matecznikiem w Wolfsburgu. Linie produkcyjne zostały wstrzymane na łącznie 4 godziny, bo pracownicy na drugiej zmianie również odstąpili od pracy.

Kolejny etap negocjacji z władzami firmy odbył się 9 grudnia. Do Wolfsburga udali się także działacze Solidarności oraz związkowcy z krajów Europy Środkowo-Wschodniej. Tego dnia w dziewięciu zakładach Volkswagena odbyły się kolejne czterogodzinny strajki ostrzegawcze – linie produkcyjne znowu się zatrzymały.

Niemieccy związkowcy domagali się pierwotnie 7-procentowych podwyżek, ale w obliczu problemów finansowych koncernu nie były one realne do przeforsowania. Ich celem było niedopuszczenie do zamknięcia zakładów i obniżenia pensji pracowników.

Strona społeczna podawała, że w protestach wzięło udział 68 tysięcy pracowników Volkswagena. Jedynie fabryka w Osnabrücku nie przystąpiła do akcji, ponieważ obowiązuje tam inny układ zbiorowy niż w pozostałych dziewięciu zakładach, gdzie pracownicy objęci są wewnętrznym układem zbiorowym IG Metall.

W trakcie negocjacji pojawiła się w mediach informacja, że produkcja busa elektrycznego ID. Buzz może zostać przeniesiona z Hanoweru do Poznania. Być może był to straszak ze strony pracodawcy, by zmusić stronę społeczną do ustępstw.

Przedświąteczne porozumienie

Ostatecznie po trwających ponad 70 godzin negocjacjach związek zawodowy IG Metall i władze Volkswagena doszły do konsensusu. Porozumienie „Zukunft Volkswagen", czyli Przyszłość Volkswagena ogłoszono 20 grudnia. Związkowcy mówili, że był to „cud bożonarodzeniowy".

Ustalono, że do 2030 roku koncern zlikwiduje ponad 35 tys. miejsc pracy w niemieckich zakładach. Ponadto zmniejszone zostaną w nich moce produkcyjne. VW zamierza wyprodukować w Niemczech o 734 tys. samochodów

DO 2030 ROKU VOLKSWAGEN ZLIKWIDUJE PONAD 35 TYS. MIEJSC PRACY W NIEMIECKICH ZAKŁADACH.

eprasa.pl d90fd1bdd3

mniej. Co więcej, w 2025 i 2026 roku nie będzie podwyżek płac.

Związkowcom udało się uniknąć zamknięcia zakładów pracy, przymusowych zwolnień i zmniejszenia pensji pracownikom. Ponadto osoby zatrudnione na etacie uzyskały gwarancję zatrudnienia do 2030 roku.

Uzyskane w ten sposób oszczędności mają zostać skierowane na inwestycje, główna marka Volkswagen Samochody Osobowe ma stać się bowiem do 2030 roku wiodącym technologicznie producentem aut na świecie.

Uzgodniony plan ma przełożyć się na roczne oszczędności w wysokości 4 mld euro, z czego koszty pracy zostaną obniżone o 1,5 mld euro rocznie.

Zmniejszeniu mają ulec także wynagrodzenia menadżerów. Chodzi o kwotę przeszło 300 mln euro do 2030 roku.

– Wyznaczyliśmy sobie trzy priorytety dla przyszłości marki Volkswagen: zmniejszenie nadwyżki mocy produkcyjnych w Niemczech, obniżenie kosztów pracy i osiągnięcie konkurencyjnych kosztów rozwoju. Negocjacje doprowadziły do realnych wyników we wszystkich trzech obszarach – skomentował Thomas Schäfer, CEO marki Volkswagen Samochody Osobowe.

Konsekwencje dla Polski

Porozumienie w niemieckim VW może odbić się czkawką w polskich zakładach. Ustalono bowiem, że fabryka w Wolfsburgu zmniejszy liczbę linii montażowych z czterech do dwóch, a produkowany tam popularny model Golfa zostanie w 2027 roku przeniesiony do Puebli w Meksyku. Co to ma wspólnego z Polską? Bardzo dużo, ponieważ po 2027 roku nadwyżki Golfa miały powstawać w poznańskich zakładach Volkswagena.

PRODUKCJA GOLFA MA ZOSTAĆ W 2027 ROKU PRZENIESIONA Z WOLFSBURGA DO MEKSYKU.

W zeszłym roku kultowy model VW Golf świętował swoje pięćdziesięciolecie. Od 1974 roku wyprodukowano 37 mln egzemplarzy tego auta, co daje mu trzecie miejsce w kategorii najlepiej sprzedających się samochodów w historii. Kolejna 9. generacja Golfa będzie już elektryczna i też ma powstawać w Wolfsburgu. Co zatem czeka polskie zakłady Volkswagena?

– My od wielu miesięcy, a nawet lat, zabiegliśmy o produkty dla zakładów Volkswagena w Poznaniu, żebyśmy mogli produkować i utrzymać dzięki temu miejsca pracy. W grudniu 2023 roku odbyło się spotkanie z załogą, na którym otrzymaliśmy potwierdzenie, że otrzymamy nadwyżkę produkcji Golfa z Wolfsburga po 2027 roku. Przewodnicząca Światowej Rady Zakładowej VW użyła nawet stwierdzenia, że Golf niebawem stanie się Polakiem. Jeśli produkcja Golfa zostanie przeniesiona do Meksyku, to łatwo się domyślić, że ten projekt dla Poznania może zostać przekreślony. Na dziś nie mamy jeszcze takiego potwierdzenia – powiedział nam Piotr Olbryś, przewodniczący „S” w Volkswagen Poznań.

– Jeśli okaże się, że Golf nie będzie produkowany w Poznaniu po 2027 roku, to setki miejsc pracy będą zagrożone, więc rozpoczniemy wtedy batalię o produkty dla naszych zakładów, aby zabezpieczyć jak najwięcej stałych miejsc pracy – zaznaczył.

Przewodniczący Olbryś powiedział nam, że porozumienie zawarte z niemieckim związkiem zawodowym ma charakter deklaratywny, a więc nie jest to jeszcze ostateczna decyzja.

– Dla nas najważniejsza jest runda planowania w perspektywie 5- i 10-letniej. Do pierwszej połowy 2025 roku zostanie ustalone, jakie produkty i gdzie będą produkowane. Wszystko może się jeszcze wydarzyć. Tym bardziej, że niektórzy w Niemczech uważają, że Golf 8 z klasycznymi napędami powinien nadal być produkowany w Wolfsburgu. Ważna jest też przyszłość elektrycznego ID. Golfa, który również ma powstawać w tamtejszej fabryce – dodał Piotr Olbryś.

> ***Jeśli okaże się, że Golf nie będzie produkowany w Poznaniu po 2027 roku, to setki miejsc pracy będą zagrożone, więc rozpoczniemy wtedy batalię o produkty dla naszych zakładów.***
>
> **PIOTR OLBRYŚ, przewodniczący „S” w Volkswagen Poznań**

eprasa.pl d90fd1bdd3

Z ARCHIWUM Tomasza Gutrego

Basia: – Dziś zdjęcie z kardynałem Józefem Glempem. To był stan wojenny, prawda?

Tomek: – Tak, to było Stare Miasto. Zima, prawdopodobnie początek 1982 roku. Niedaleko punktu, w którym rozdawano dary na ulicy Kanoniej. Były wówczas dwa takie punkty. Jeden właśnie tam, drugi – na ul. Piwnej w kościele św. Marcina.

– W jakiej sytuacji powstało to zdjęcie?

– To było prawdopodobnie w niedzielę, po nabożeństwie w archikatedrze. Kardynał wyszedł z kościoła i chciał odjechać samochodem, ale otoczył go tłum ludzi, którzy go pozdrawiali. Widzisz, że wszyscy są radośni? Nawet wtedy zdarzały się takie chwile.

Rozmawiała Barbara Michałowska

eprasa.pl d90fd1bdd3

PRAWO

MANDATY I PUNKTY KARNE, czyli słów kilka o karach za wykroczenia drogowe

Otrzymałem mandat za przekroczenie prędkości, ale nie popełniłem tego czynu. **Czy mogę się odwołać od mandatu?** Jakie są moje szanse na wygranie sprawy? Mam też inne pytanie: jak mogę sprawdzić, ile mam punktów karnych, i czy mogę je jakoś usunąć?

Tomasz Oleksiewicz, radca prawny

Tak, ma Pan prawo odwołać się od mandatu, jeśli uzna Pan, że został on nałożony niesłusznie. Kluczowe znaczenie ma jednak to, czy mandat został przez Pana przyjęty. Jeśli nie, sprawa automatycznie trafia do sądu rejonowego, właściwego dla miejsca popełnienia wykroczenia. Wówczas to sąd będzie oceniał zasadność wystawienia mandatu na podstawie przedstawionych dowodów. Jeśli jednak mandat został przyjęty, staje się prawomocny i jego uchylenie jest możliwe tylko w wyjątkowych okolicznościach. Podstawą do uchylenia mandatu może być np. sytuacja, w której został on wystawiony na osobę, która w rzeczywistości nie popełniła wykroczenia, lub gdy wystąpiły rażące błędy formalne podczas jego wystawiania. W takim przypadku może Pan złożyć wniosek o uchylenie prawomocnego mandatu na podstawie art. 101 § 1 Kodeksu postępowania w sprawach o wykroczenia. Wniosek ten składa się do sądu rejonowego, który ocenia, czy rzeczywiście doszło do błędu, który uzasadnia uchylenie mandatu.

Ważne jest, aby odwołanie było dobrze udokumentowane. Może Pan powołać się na dowody takie jak nagrania z wideorejestratorów, zdjęcia z kamer miejskich, świadków lub żądać przedstawienia dokumentów dotyczących legalizacji urządzenia pomiarowego. Warto również sprawdzić, czy urządzenie, które dokonało pomiaru, miało aktualne świadectwo legalizacji wymagane na podstawie ustawy z dnia 11 maja 2001 r. – Prawo o miarach.

Szanse na wygraną w sądzie zależą głównie od jakości zebranych dowodów oraz od ewentualnych błędów proceduralnych popełnionych przez funkcjonariuszy w trakcie zatrzymania lub wystawiania mandatu.

Kolejne Pana pytanie to, jak można sprawdzić, ile ma się punktów karnych i czy można je jakoś usunąć?

Tak, jest możliwość sprawdzenia liczby punktów karnych, które widnieją na naszym koncie. Można to zrobić osobiście na komisariacie policji po okazaniu dowodu osobistego lub online, korzystając z profilu zaufanego na platformie obywatel.gov.pl. Jeśli chodzi o usunięcie punktów karnych, to kasują się one automatycznie po upływie 12 miesięcy od dnia zapłaty mandatu, a nie od dnia jego wystawienia. Istnieje również możliwość zredukowania liczby punktów poprzez uczestnictwo w specjalnym kursie reedukacyjnym organizowanym przez wojewódzkie ośrodki ruchu drogowego (WORD). Taki kurs pozwala na usunięcie 6 punktów karnych, jednak można z niego skorzystać jedynie raz na pół roku i tylko w przypadku, gdy nie przekroczysz limitu 24 punktów karnych.

W przypadku przekroczenia tego limitu starosta wydaje decyzję administracyjną o cofnięciu uprawnień do kierowania pojazdem na podstawie ustawy – Prawo o ruchu drogowym. Aby odzyskać prawo jazdy, konieczne będzie ponowne zdanie egzaminu.

eprasa.pl d90fd1bdd3

Podsumowując, zarówno odwołanie od mandatu, jak i kontrolowanie punktów karnych to czynności, które wymagają szybkiej reakcji i odpowiedniego przygotowania. Jeśli ma Pan wątpliwości co do swojej sytuacji, warto rozważyć konsultację z prawnikiem, który pomoże przygotować odpowiednie wnioski i argumentację przed sądem.

RADA DIALOGU SPOŁECZNEGO (cz. 2)

W pierwszej części artykułu poświęconego Radzie Dialogu Społecznego przybliżona została sama idea powołania tej instytucji oraz pewne kwestie organizacyjne dotyczące przede wszystkim składu RDS. W drugiej części uwaga skupi się przede wszystkim na zasadach jej działania oraz kompetencjach, w które została wyposażona.

Dr **Jakub Szmit**, specjalista z zakresu prawa pracy

Specyficzny skład RDS przekłada się na sposób jej działania. Po pierwsze jej pracami kieruje Prezydium Rady, w skład którego wchodzą przewodniczący Rady i wiceprzewodniczący. Przewodnictwo w RDS jest sprawowane rotacyjnie, w ten sposób, że przewodniczącym jest naprzemiennie przedstawiciel strony pracowników i strony pracodawców oraz strony rządowej (kadencja trwa 1 rok).

Drugą płaszczyzną, w której można dostrzec specyfikę Rady, jest sposób podejmowania przez nią uchwał na posiedzeniach plenarnych (obok posiedzeń plenarnych w ramach RDS tworzone są także zespoły stałe oraz doraźne zespoły problemowe). Otóż dla przyjęcia uchwały konieczne jest zapewnienie kworum, czyli w posiedzeniu muszą brać udział 1) przedstawiciele więcej niż połowy organizacji związkowych, 2) przedstawiciele więcej niż połowy organizacji pracodawców oraz 3) co najmniej jeden przedstawiciel Rady Ministrów. Z kolei co do samego głosowania to dla przyjęcia uchwały wymagana jest zgoda każdej ze stron, przy czym stanowiska strony pracowników i strony pracodawców są przyjmowane zwykłą większością, przy uczestnictwie w głosowaniu co najmniej 2/3 członków Rady reprezentujących daną stronę. Stanowisko strony rządowej przyjmowane jest jednomyślnie przez obecnych na posiedzeniu członków Rady Ministrów (nieco odmiennie wyglądają zasady głosowania korespondencyjnego).

Przechodząc do kwestii zadań i kompetencji RDS, to są one szerokie i zróżnicowane. O zadaniach RDS w kontekście ustalania wysokości wynagrodzenia minimalnego była już mowa w „TS" (nr 52/53/2024), stąd też w tym miejscu wątek ten zostanie pominięty.

Przede wszystkim strony RDS mogą zawierać porozumienia oraz zajmować wspólne stanowiska. W szczególności warto zwrócić w tej sferze uwagę na fakt, że zarówno strona pracowników jak i strona pracodawców mogą zawierać ponadzakładowe układy zbiorowe pracy obejmujące ogół pracodawców zrzeszonych w organizacjach pracodawców wchodzących w skład RDS lub grupę tych pracodawców oraz pracowników zatrudnionych przez tych pracodawców, a także porozumienia określające wzajemne zobowiązania tych stron (niestety do tej pory nie udało się zawrzeć takiego układu).

Strona pracowników i pracodawców ma prawo opiniować projekty różnorodnych aktów przygotowywanych przez Radę Ministrów (w tym projektów ustaw, innych aktów prawnych, a także innych dokumentów rządowych). Nawet dalej idącą kompetencją jest to, że strona pracowników i strona pracodawców ma prawo przygotowywania wspólnie uzgodnionych projektów założeń projektów ustaw i projektów aktów prawnych i przekazania ich właściwemu ministrowi w celu przedłożenia Radzie Ministrów, a także wnioskowania o przeprowadzenie wysłuchania publicznego do podmiotu odpowiedzialnego za opracowanie projektu aktu normatywnego dotyczącego spraw objętych zakresem właściwości Rady. Wreszcie w tej grupie uprawnień mieści się prawo występowania strony pracowników i pracodawców ze wspólnymi wnioskami do właściwego ministra o wydanie lub zmianę ustawy albo innego aktu prawnego.

Powyższy katalog uprawnień RDS nie jest wyczerpujący, lecz pozwala dostrzec, że członkostwo danej organizacji w tym ciele jest niezwykle istotne i daje daleko idące korzyści.

PYTANIA DO EKSPERTÓW

Pytania do naszych ekspertów prosimy słać na adres **redakcja@tygodniksolidarnosc.com** (w tytule wiadomości należy wpisać „**prośba o poradę prawną**") lub listownie na adres: „Tygodnik Solidarność", ul. Prosta 30, 00-838 Warszawa. Redakcja zapewnia anonimowość nadawcy.

Pytanie powinno być napisane w sposób zwięzły i dotyczyć jednego problemu.

eprasa.pl d90fd1bdd3

RYSUNEK NA KONIEC KRYSZTOPA

Nasi autorzy

Michał Ciesielski (Masowa..., s. 34), prezes Centrum Myśli Gospodarczej. Ekonomista zainteresowany demografią, ekonomią rozwoju, gospodarką współdzielenia i katolicką nauką społeczną.

Marcin Darmas (Światowy..., s. 50), socjolog związany przez lata z Uniwersytetem Warszawskim, był współtwórcą koncepcji i dyrektorem kanału TVP World. Jego ostatnia książka to „Na dystans. Rozważania socjologiczne o boksie" (Wydawnictwo UW, 2019).

Piotr Grzybowski (Styczeń..., s. 58), publicysta związany w przeszłości z tygodnikiem „Niedziela". Społecznie zaangażowany w upamiętnienie ks. Jerzego Popiełuszki w parafii św. Stanisława Kostki na warszawskim Żoliborzu.

Krzysztof Kwaśnica (O „gaceniu"..., s. 42), jest robotnikiem i pracuje w fabryce. Należy do Solidarności i jest z tego dumny.

Paweł Pietkun (Bilans..., s. 38), dyrektor regionalny w Amerykańskim Instytucie Dyplomacji i Praw Człowieka (U.S. Institute of Diplomacy and Human Rights).

Wojciech Stanisławski (Czytam,..., s. 48), historyk, publicysta i krytyk literacki. Współtwórca Muzeum Historii Polski. „Listy 1969–1996. Jerzy Giedroyc, Michaił Heller" (UKSW, 2023) to jego najnowsza książka.

PRENUMERATA NA 2025 ROK

Prenumeratę „Tygodnika Solidarność" można zamówić na dwa sposoby:

1) Bezpośrednio u wydawcy „TS" – TYSOL Sp. z o.o., 00-838 Warszawa, ul. Prosta 30, tel. 22 882 27 80, e-mail: prenumerata@tygodniksolidarnosc.com numer konta: Mbank 58 1140 1065 0000 2038 9400 1001. Prenumerata przyjmowana jest na dowolny okres i w dowolnym momencie;

2) w wersji elektronicznej przez: **tysol.pl**;

Prenumerata krajowa

- I kwartał – 108,00 zł (12 wydań)
- II kwartał – 117,00 zł (13 wydań)
- **I półrocze – 225,00 zł (od nr. 1 do 25)**
- III kwartał – 126,00 zł (14 wydań)
- IV kwartał – 108,00 zł (12 wydań)
- **II półrocze – 234,00 zł (od nr. 26 do 51/52)**

Roczna prenumerata – 459,00 zł

Prenumerata zagraniczna

- Roczna prenumerata – 281 euro – przesyłka priorytetowa

Więcej na: www.tysol.pl/s6-Prenumerata-tygodnika-solidarnosc
Przy większych zamówieniach cena podlega negocjacji.
Koszty wysyłki ponosi wydawca.

eprasa.pl d90fd1bdd3

PRENUMERATA 2025

ZMIANY DOTYCZĄCE PRENYMERATY „TYGODNIKA SOLIDARNOŚĆ”

Zapraszamy do **zamawiania prenumeraty** „Tygodnika Solidarność”. Można to zrobić poprzez kolporterów, takich jak: **Kolporter sp. z o.o.**, **Garmond Press SA**, poprzez **Pocztę Polską**, a także w **redakcji „Tygodnika”**.

Prenumerata redakcyjna wysyłana jest za pośrednictwem Poczty Polskiej na wskazany adres (prenumerator **nie ponosi kosztów przesyłki**).

„Tygodnik Solidarność” jest w stałej sprzedaży w salonikach prasowych sieci Empik.

Cena okładkowa „Tygodnika Solidarność” w 2025 roku wyniesie **9,90 zł.**

Cena w prenumeracie egzemplarzowej „Tygodnika Solidarność” w 2025 roku **wynosi tylko** ..... **9,00 zł**

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ W WERSJI PAPIEROWEJ ORAZ ELEKTRONICZNEJ NA 2024 ROK

I KWARTAŁ	**108,00 ZŁ***	(NUMERY 1–12)
II KWARTAŁ	**117,00 ZŁ**	(NUMERY 13–25)
I PÓŁROCZE	**225,00 ZŁ**	(NUMERY 1–25)
III KWARTAŁ	**126,00 ZŁ**	(NUMERY 26–39)
IV KWARTAŁ	**108,00 ZŁ**	(NUMERY 40–51/52)
II PÓŁROCZE	**234,00 ZŁ**	(NUMERY 26–51/52)
ROK	**459,00 ZŁ**	(NUMERY 1–51/52)

* wszystkie ceny podane są w kwocie brutto

eprasa.pl d90fd1bdd3

eprasa.pl d90fd1bdd3